

Dziś w numerze
Czytelnik znajdzie

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 13 września 1959 r.

CENA 1 ZŁ NR 37 (81)

TADEUSZ SZEWERA

Tajemnice



Przedmieścia

Małe wąskie uliczki na przedmieściu. Domki nieduże, parterowe. Rozwalony płot, wyboisty chodnik, odrapane z tynku ściany. Na podwórku skrzypi studnia na korbę... Zły pies szczeka na przechodnia... Konie ciągną ciężki wóz wyladowany węglem...

Przed jednym z domów zamyka brudy z chodnika opatulona w chustkę kobieta. Zaczepiam ją:

— Pani tu mieszka? Co słychać ciekawego?

— Co słychać? Nic nie słychać.

— Nic się nie dzieje?

— Nic się nie dzieje. Bieda i tyle.

Ale ja w to nie wierzę. „Na wszystko bowiem” — jak powiadają filozofowie — „należy patrzeć z punktu widzenia”. Więc z „punktu widzenia” tej przygodnie spotkanej kobiety, faktycznie nie się tu nie dzieje. Z mojego punktu widzenia ta uliczka kryje na pewno jakieś ciekawe tajemnice. Kiedy zaintrygowany krzykami dochodzącymi z domu przed którym stałmy, zapytałem ją — co te hałasy znaczą? — otrzymałem obojętną, zniecierpliwioną odpowiedź:

— A, tam, sąsiadki się ciągle kłóca.

Wdrapuję się po stromych drewnianych schodach na drugie piętro i podsłuchuję pod drzwiami. I oto jestem świadkiem bardzo prozaicznej kłótni. We wspólnej kuchni skaczą sobie do oczu dwie młode kobiety. Jedna chce gotować i druga chce gotować. Ani jedna, ani druga nie ma zamiaru ustąpić. Padają epitety, wyzwiska, obelgi. W pewnym momencie drzwi się otwierają na korytarz. Wyrzucona z kuchni kobieta jest wzburzona. Zbiega po schodach na dół. Pedzę za nią zaciekawiony, co będzie dalej. Kobieta ubiera się w płaszcz na ulicę... Gdzieś biegnie... Niemal jednocześnie wchodzimy oboje do pokoju, w którym urzęduje dzielnicowy funkcjonariusz MO.

Funkcjonariusz zna już te

Dalszy ciąg na str. 5



W V KOLUMNIE DZIŚ
PAMIĘTNIK SZPIEGA

O MUZEUM
i nowoczesności
— str. 10



Bitwa
nad Bzurą
— str. 2



HENRYK ANDERS

BIAŁE PLAMY...

Osiem wyższych uczelni, instytuty naukowe, muzea, liczne i żywotne środowisko twórcze, siedem teatrów, filharmonia, opera i operetka, szpitale i stadiony, nowe, jasne szkoły, nowe bloki mieszkalne. Już nie złe miasto. Wielka Łódź.

...bezpříkladna obojętność dla piękna w ogóle, dla dzieł sztuki zaś, wzniosłych myśli, celów i projektów w szczególności...

Tak, w broszurze wydanej

w 1895 roku, z wyżyn mieszkańca Warszawy charakteryzował kulturę łódzką niejaki Adolf Starkmani. Jak daleko odeszliśmy od tamtych czasów!

No właśnie. Jak daleko?

Starannie zatykając nos przechodzę przez skrawek podwórza, pozostałość po wielkim kiedyś placu między nowymi blokami. Wzdłuż ażurowego murku, który ogradza wybieg dla „maluchów” ze żłobka, stoi rząd

puszek na śmieci, otwartych, przepelnionych i cuchnących. Ta swoista beztroska naszej „małej urbanistyki” nie razi jakoś obywateli przedmieścia, ani opiekunów dzieciarni. Z przeprowadzonej ad hoc ankiety upewniam się, że ów naturalny fakt w niczym nie narusza lokalnych obyczajów, czy też norm antyseptyki.

Na użytek mieszkańców starej, nie skanalizowanej oficyny pozostaje szeroki na trzy metry pas podwórza, obrożony ciągiem drewnianych komórek i ustępów oraz wspomnianym wielokrotnym śmietnikiem. Tu, na „świeżym powietrzu”, pod festonami pieluch bawią się dzieciaki, odpoczywają dorośli. Istna sielanka: „gołębiarz” powiewa wiechem, kobiety szydelkują i miewają ozorami w opłotkach, mężczyźni „rzną” w karetkach. Nierządsko pęka ciwarta. Z wielu okien radio ryczy bez przerwy, byle co, bo i tak się go nie słucha. Honny soit qui mal y

pense.*) Inteligenci z kolorowych bloków nie reagują, starają się po prostu nie dostrzegać kłopotliwego sąsiedztwa. Nikt nie zasugeruje, że z pogawędką można by się przebiec na wygodnej ławki pobliskiego, ukwieconego skweru. Nikt nie zaproponuje innych form rozrywki.

A przecież do najbliższego z trzech okolicznych kin stąd tylko sto kroków. W odległości niewiele dalszej oczekują na klientów dwie biblioteki miejskie. Tuż obok marnieje duża, nie wykorzystana świetlica, zazwyczaj pustka, a najczęściej zamknięta.

Jak widać rejon jest „instytucjonalnie zorganizowany”, co po polsku znaczy: dobrze wyposażony w placówki kultury masowej. Gdzie indziej bywa gorzej.

Łatwo to stwierdzić nawet bez zapuszczania się w „teren”. Wystarczy obejrzeć mapę Łodzi — taki plan sytuacyjny z naniesionym rozmieszczeniem podstawowych ośrodków kulturalno-twórczych.

Wbrew administracyjnemu podziałowi na dzielnice, a wyłącznie ze względu na gęstość zaludnienia, odległość od centrum miasta oraz łatwość komunikacji należałoby podzielić Łódź na trzy strefy koncentryczne, przy czym oś układu stanowiłaby — jak zawsze — ulica Piotrkowska. Właściwe śródmieście zamykałoby się wówczas w dość regularnym prostokącie między ulicami Północną, Żeromskiego, Worcella i Tar-

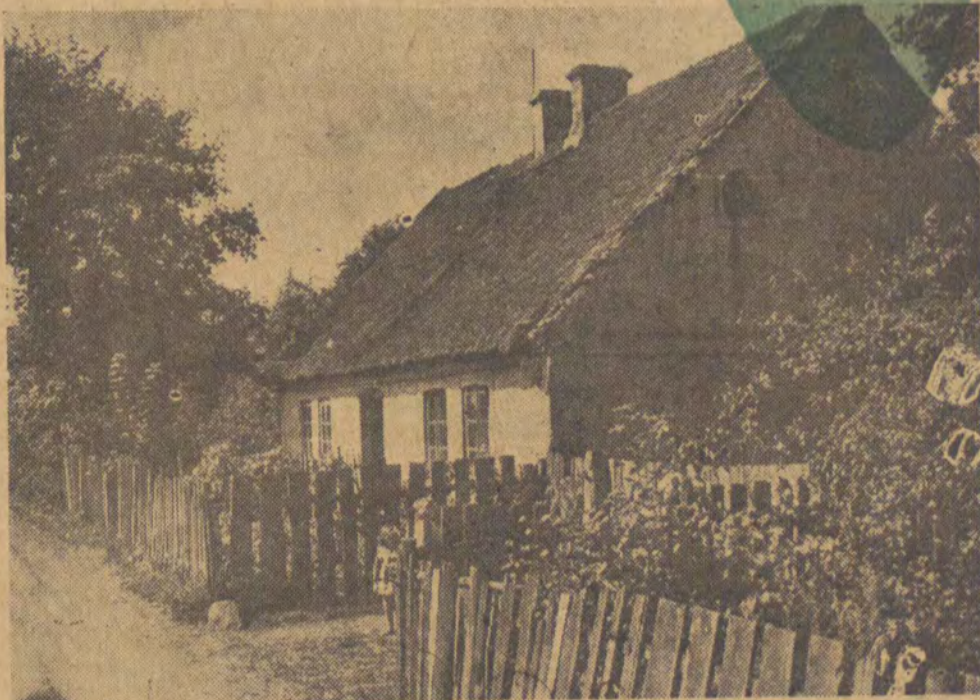
*) Hasła teniu, kto źle o tym myśli.

Dalszy ciąg na str. 6



Dzisiaj podrobień
czytelnikom „Odgłosów” i
mocnym „dieszygnom”
miasta Łodzi —
Czybunk.

„Do widzenia, do jutra” na str. 3



O zaszczytnej pracy i płacy adwokata

U nas nie ma prac niezaszczytnych, bywają tylko niezaszczytne płace. Stąd mogę śmiało mówić o zaszczytnej pracy i płacy adwokata.

Wywołała ona ostatnio namiętną dyskusję na łamach „Polityki”. Czekalem cierpliwie z wtrąceniem swoich trzech groszy, aż się ona zakończy. Urwała się wszakże ta dyskusja nagle i niespodziewanie, nie dając żadnych konkluzji. Widocznie atakujący adwokatów uznali, że adwokatów i tak nie przegadają, zaś adwokatów do przegadania, że w tym szczególnym i jedynym wypadku właśnie milczenie jest dla adwokatów złotem.

Atak na adwokatów poprowadzony został od strony kieszeni. Czytelnik w liście do „Polityki” stwierdził, że adwokaci zarabiają krocie, że nie jest to uzasadnione żadnymi społecznymi racjami i że trzeba „nacionalizować adwokatów”.

Adwokat odpisał na to, że zarabiają grosze, że nacionalizacja adwokatów byłaby wykrywaniem wymiaru sprawiedliwości, że adwoka-

będzie płacić legalnie lub nie legalnie, to znaczy adwokatowi „indywidualnie gospodarującemu” jak i adwokatowi z zespołu, spółdzielni lub z państwowego przedsiębiorstwa obronczego, adwokatowi pozostającemu na urzędniczej pensji.

Istnieje drugi jeszcze zawód, składający ludziom usługi warte „każdego pieniądza” — zawód lekarza. A jednak przeciętny człowiek bardziej jest skłonny płacić adwokatowi niż lekarzowi. Po pierwsze dlatego, że lekarz jest dlań bardziej reprezentantem ogólnej wiedzy — medycyny niż indywidualnym cudotwórcą i wiarą w jego możliwości jest bardziej wiarą w medycynę, wiarą, że decyduje tu jej poziom — niż wiarą w doktora X. Po drugie, dlatego, że w opinii społecznej etyka lekarza cieszy się większym zaufaniem. Pacjent jest zwykle przekonany, że lekarz będzie się nim opiekować niezależnie od sprawy honorarium.

Oczywiście powiadam to wszystko w sensie względnym, porównawczym z adwokatami i jako argumentu użyję tu stwierdzenia, że więcej ludzi korzysta z usług darmowego lekarza „z ubezpieczenia” niż z usług adwokata z urzędu.

Stwierdziwszy, że wysokie, czasami omijające wszelkie cenniki i kasy zespołów, zarobki adwokatów mają charakter obiektywny, mógłbym poprzestać na tym stwierdzeniu, gdyby nie ważka społecznie konsekwencja takiego stanu rzeczy.

Sytuacja, w której uposażenie adwokaackie jest niewspółmiernie wyższe od prokuratorskiego i sędziowskiego tworzy tendencję do uciekania z foteli oskarżycielskich i sędziów na ławy obrończe. Jest to normalne, ludzkie i oczywiste. Władze administracyjne sądownictwa starały się wieloma już posunięciami ograniczyć ten odpyływ. Żadne z tych posunięć, w gruncie rzeczy administracyjnych, nie było doskonałe, każde zaś miało w sobie coś niezdrówego, krzywdzącego, anormalnego. Żadne też nie było skuteczne.

Fakt faktem, że powoli, ale stale najlepszy prawnicy uciekali, uciekają i będą uciekać do adwokatów (choćbyś się w tym spozstrzeżeniu mylił), co chwile równowagę sił intelektualnych i wiedzy na sali sądowej. Co deprecjonuje także urzędy sędziowskie i prokuratorskie.

Dalej, dysproporcje zarobkowe nie mają uzasadnienia, jeśli chodzi o wartość pracy, wiedzę, odpowiedzialność itd. Nie jest też najlepszą sytuacją, w której pozycja materialna (z wszystkim co za tym idzie) reprezentanta państwa, obrońcy obiektywnej sprawiedliwości jest niewspółmiernie niska w stosunku do pozycji obrońców interesów osób prywatnych.

Tak już bowiem się od wieków dzieje, że społeczeństwo wymaga przydawania większego blasku reprezentacji jego kolektywnych interesów, niż reprezentacji interesów pojedynczych ludzi — egzemplarzy.

Adwokat powiada na to: podnieście pensje sędziom i prokuratorom. Pensje te są

UWAGA NA RADIO BERLIN

31 sierpień 1939 r., godzina 23.00. Komunikat nadzwyczajny: „Powstańcy polscy zaatakowali terytorium niemieckie i opanowali na pewien czas radiostację w Gliwicach...”

O GODZINIE CZWARTEJ NAD RANEM

Wiadomości tej nie wyczytaliśmy z gazet. Obwieścił ją wzdłuż całej granicy salwy niemieckich armat, obwieścił ją bomby spadające na bezbronne, uśpione jeszcze miasta i miasteczka. Mieszkańcy Praszki w powiecie wielunińskim, nie widzieli nawet momentu wyważenia szlabanów na szosie wiodącej do sławetnego „kwarantannika”. Spali jeszcze, kiedy żołdacy hitlerowscy zrywali białego orla. Województwo łódzkie od pierwszej chwili znalazło się w ogniu. Jeszcze o zmroku zapaliły się pierwsze dymy na wsi pod wielunińską. Armia „Łódź” pod dowództwem generała dywizji Juliusza Rómmla, przeżyła swój krwawy chrzest bojowy, a Wołyńska Brygada Kawalerii pułkownika Filipowicza, wchodząca w skład tej armii pierwszą krwawą szarżę na czołgi. W pierwszym starciu z czwartą dywizją pancerną Niemców padło ponad dwustu ułanów, nie licząc rannych. Polacy stracili trzy czołgi, ale był to też ich pierwszy wielki sukces. Niemcy stracili trzydzieści procent nacierających czołgów.

Pod wieczór 1 września oddziały osiemnastej dywizji piechoty niemieckiej zajęły Rudniki i rozpoznawały wzdłuż lewego brzegu Warty docierając pod Krzeczów — czternaście kilometrów na wschód od Wielunia.

Najpiękniejszy jednak bój stoczyły dwudziesty pierwszy i dwunasty pułk ułanów, które na polanie wsi Mokra, w powiecie wielunińskim, odparły przy wsparciu artylerijskim pięćdziesiątego trzeciego pułku pancernego, strzelając z lekkich dział na wprost, atak całej pancernej dywizji niemieckiej, odrzucając ją nawet do tyłu i umacniając swoje pozycje...

KOMUNIKAT SZTABU
NACZELNEGO WODZA
NR 1

Dnia pierwszego września 1939 roku w godzinach ran-

nych niespodziewanym natarciem lotnictwa i oddziałów wojska. Niemcy wdarli na nasze terytorium nie wypowiadając uprzednio wojny. Lotnictwo niemieckie wykonało szereg nalotów na poszczególne punkty całego terytorium Polski...

Pod Kutnem ostrzelano z karabinów maszynowych i obrzucono bombami z lotu nurkowego pociąg ewakuacyjny. W Grodnie uszkodzono kościół katolicki, a w

Białej Podlaskiej cerkiew. Meldunki o dalszym bombardowaniu nadchodzą.

W rejonie gdańskim rozwinęła się silna natęka lotnicza na Gdynię, która w ciągu dnia dzisiejszego znajdowała się pod ogniem bomb.

STRATY NIEPRZYJACIELA: W ciągu dnia dzisiejszego zostało ogółem straconych 16 samolotów niemieckich. Straty własne — 2 samoloty.

Równocześnie z nalotami rozpoczęły się działania wojsk niemieckich, które w różnych punktach naszego pogranicza wdarły na polskie terytorium. Walki na pograniczu trwają. Największe natężenie walk na Śląsku. W dotychczasowych działaniach rozbiłszy ogniem artylerii pociąg pancerny przeciwnika, biorąc do niewoli obsadę. Unieszkodliwiono kilka czołgów. W różnych punktach walki zwyciężyli jeńców. W Gdańsku trzykrotnie natarcie na Westerplatte zostało odparte.

PRZELAMANIE FRONTU NAD WARTĄ

2 września 1939. Pododdziały jedenastego korpusu niemieckiego atakują pozycje 30 dywizji piechoty armii „Łódź” w rejonie Krzeczowa i Działoszyna. Około południa Działoszyn przeżywa silne bombardowanie artyleryjskie a następnie 18 niemiecka dywizja piechoty rusza na przycie brzońone przez 82 pułk piechoty polskiej a 19 na pozycje 84 pułku. Dwa pułki stawiają opór dwóm dywizjom wroga. Mimo heroicznego kontrataku trzeciego batalionu 82 pp. który odrzuca początkowo Niemców za Wartę, opanowują oni do końca dnia cały rejon działoszynskiego huku Warty i wchodzą na północ od drogi polnej Działoszyn—Kamion, 84 pp. nie pozwolił zepchnąć się z zajmowanych pozycji, dopiero niepowodzenie na skrzydle osłanianym przez 82 pp zmusiło do wycofania się do miejscowości Szczyty.

Obydwie dywizje niemieckie doznały dotkliwych strat.

W międzyczasie na styku dwóch armii polskich — „Kraków” i „Łódź” tworzy się niebezpieczna luka. Pięta achillesowa okazuje się bohaterka „Potopu” Częstochowa. Pułkownik Filipowicz udaje się do Częstochowy na zwiady, generał Rómml napiera na dowódcę armii „Kraków” generała Szyllinga. Mimo zapewnień ze strony Krakowa, właśnie na Częstochowie front pęka. Lukę wykorzystuje pierwsza dywizja pancerna Niemców, która od świtu 2 września rozpoczyna energiczny i niczym nie zakłócony marsz w kierunku wschodnim. Jedyną przeszkodą będzie już odtąd dla niej nasze lotnictwo bombardujące i ogień artylerii 7 dywizji piechoty armii gen. Szyllinga, gdy prawe skrzydło niemieckiego zagonu

Dalszy ciąg
na str. 6



tura musi pozostać zawodem „wolnym”, że to rodzaj sztuki, twórczości, dalej, że wszelkie nacionalizacje czy kolektywizacje ograniczają prawo wyboru obrońcy — prawo fundamentalne dla solidnego wymiaru sprawiedliwości.

Potem w dyskusji wiele się mówiło o problemach etycznych pracy adwokata, tudzież kłóciło o fiskalia.

Sprawa zarobków adwokatów jest klasycznym błędnym kołem. Adwokaci, przynajmniej ich znaczna część, zarabiają bardzo dużo lub dużo. Zarabiają niezależnie od tego czy przyznają się do tego czytelnikom prasy czy nie. Stanowi to walor immanentnie przywiązany do ich zawodu i praktycznie niezwalczalny.

Człowiek zazwyczaj przychodzi do adwokata w dwóch sytuacjach życiowych: albo gdy prowadzi z kimś spór o jakiejś dobrej materii, majątek i chce owo dobre uzyskać lub obronę, albo kiedy zagraża mu kara pudy.

Obie te sytuacje skłaniają go do nieleczenia się z grochem. Pierwsza z uwagi na to, że jakie by nie było owo honorarium, w wypadku procesowego zwycięstwa opłaci się ono sobie, — druga, iż uniknięcie kary więzienia warte jest na ogół „każdego pieniądza”.

Klient gotów jest i gotów

BITWA NAD BZURĄ



Czołgi niemieckie pod Działoszynem w marszu na Radomsko (2 IX 1939 r.)



Rekonensans motocyklowy

podnoszone, możliwe, że będą jeszcze podniesione.

Istnieją kraje na świecie, gdzie pensje sędziowskie osiągały niesłychane wyżyny. Przewyższają pensje ministrów. Nadal jednak, w sensie względnym, porównawczym, nie dosięgają zarobków adwokaackich. Niemniej w krajach tych nie istnieje ten dencja do odpyły ludzi z sądownictwa do adwokatów.



Przeciwnie, adwokat nierzaz przez całe życie ubiegają się o nominację sędziowską, o wybór na sędziego. Dział tu bowiem nie tyle (lub nie tylko) bodziec materialny, ile cały arsenał splendorów, cała szczególna pozycja sędziego w społeczeństwie. Wyda się, że warto sięgnąć do tych środków i nie szczędzić polskim sędziom ani

jakichś angielskich odpowiedników tytułów „milorda” z peruką na głowie włącznie i prawem należenia do ekskluzywnych klubów, ani wszelkich immunitetów, ceremonialów itd. Sędzia też człowiek, a u nas do tego Polak, więc takie rzeczy lubi.

Wniosek to skromny i niczego nie załatwiający, ale Belfer mniema, że cały problem jest kwadraturą koła, nierozwiązywalną jakimś generalnymi sposobami. Można anomalię co najwyżej łagodzić delikatnym wypróbowywaniem coraz nowych pól i ćwierćśrodków.

Zmarłej naturalną śmiercią w „Polityce” dyskusji nie zamierzam wskrzeszać na łamach „Odgłosów”. Kwi tuje ją i kropka. Obie strony powodziły w niej mniej więcej to co mówi się od dawna i małe są szanse, by ktokolwiek dorzucił tu co nowego.

Dyskusja taka służy co najwyżej irytowaniu adwokatów, co jest rozrywką może i uciechą, ale niekonieczną.

Na marginesie sprawy adwokaackiej chcę jeszcze zasignalizować małe spostrzeżenie. Dotyczy ono stosunku

społecznego do problemu zarobków.

Jak zawsze i wszędzie tak u nas i teraz ludzie o wysokich dochodach „klują w oczy” bliźnich. Zjawisko to wzmożło się w ostatnich okresie samochodomanii, rozwoju turystyki zagranicznej, większych możliwości w dziedzinie stroju. Dobrobyt jednostek, przez lata utajony, teraz jest ostentacyjnie demonstrowany. Niewielka procentowa grupa społeczna ludzi przy forsie wydaje się, z punktu widzenia obserwatora z ulicy, grupą pokąźną. To złudzenie bierze się stąd, że pieniądź rzuca się w oczy, że na ulicy widzi się jedną dobrze ubraną kobietę, nie spostrzega zaś setki ubranych skromnie, i analogicznie 10 samochodów skuteczniej pobudza zmysł wzroku niż tysiąc pieszych.

O ile ongiś jednak tzw. szary człowiek zawistnie reagował na sam fakt, że ktoś drugi posiada pieniądze i miał do tego drugiego określony stosunek emocjonalny, nie wnikał zaś w to skąd on ma pieniądze, nie różnicował źródeł ich pochodzenia, o tyle teraz jest rzeczą w odczuciu społecznym wcale różną sprawiedliwe i niesprawiedliwe posiadanie pieniędzy, wyższej stopy życiowej

itd. Istnieje duże uwrażliwienie na źródła pochodzenia pieniądza i na tytuł do jego posiadania. Co innego sklepikarz, handlarz, kombinator, co innego wynalazca, spec czy twórca.

Owo rozróżnienie stosunku emocjonalnego do tegoż samego pieniądza tak samo ostentacyjnie „noszonego”, wydawanego niezależnie od źródła jego pochodzenia i tytułu do posiadania forsy — jest ciekawym, godnym prześledzenia novum w odruchach społecznych. Tych prymitywnych odruchów, które przestały być tylko emocjami, stały się zaś domeną rozumowania. I to rozumowania, że przeproszę za słowo, klasowego, choć żadna propaganda bezpośrednia spojrzenia takiego nie uczyla.

I kto wie, czy nie wytworzy się klimat, w którym sklepikarz sprzedaje swego Mercedes a znów zacznie w polatanym ubranku jeździć na rozklekotanym rowerze, tym razem jednak nie w obawie przed milicjantem, urzędnikiem skarbowym, prokuratorem, domiarzem i tym, że córki nie przyjmą mu na studia, ale w obawie przed spojrzaniem sąsiada i przechodnia.

BELFER



Teresa Tuszyńska, główna rola kobieca w filmie



Ulica Długa w Gdańsku — przygotowywanie do zdjęć

TEKST I ZDJĘCIA LEON JANKOWSKI

Uwaga,
powstaje
film!

„Do widzenia
do jutra“

Gdynia. Hotel „Nadmorski“ nie istnieje w tym roku dla turystów. Cały zajęła ekipa, która na terenie trójmiasta nakręca nowy film pt. „Do widzenia do jutra...“ Autorami scenariusza są Cybulski, Kobiela i Mach. Reżyserem Jakub Morgenstern. Kierownikiem produkcji — Jerzy Rutowicz. Aktorami... o tym trochę dalej.

Rano budzenie. To znaczy budzi się wszystkich — dwaj młodzi kandydaci na przyszłych kierowników produkcji, studenci WSF — Włodarczyk i Zapiór (noszący tutaj tytuł kierowników zdjęć) zaczynają repertuar od pukania do drzwi...

— Myszkaaa, Myszkaaa! Myyyyszkaaa!!! Myszeczko wstawaj, już szósta trzdzieści!

Teraz na górę do operatora Jana Laskowskiego. Tego nie trzeba budzić. Uczynił to już trochę wcześniej Laskowski junior — mały Tomek.

Najtrudniej budzić gwiazdy. Trzeba zakładać, że one nie zawsze mają czas, no i nie zawsze są przyzwyczajone do ścisłej dyscypliny. Ale plan jest planem, a poza tym kierownik produkcji słynie z grzeczności, ale i stanowczości.

7.00 śniadanie w Domu Marynarza i za pół godziny jesteśmy „na planie“. Akcja dzisiejsza toczy się na terenie dworca, 300 statystów czeka już, aby zagrać swoją rolę.

Czeka sztab kolejarzy, mały plutonik milicji, a Zbyszek Cybulski ubrany w strój przemilęgo amanta siedzi w przedziale pociągu. Obok niego Teresa Tuszyńska — płowowłosa Francuzka, Margueritte. Cybulski jest Jackiem.

Przez dwa późne wieczory w domku campingowym

czytałem scenopis — nie doczytałem zakończenia. Żał mi było, chcę przecież pójść na ten film do kina. Więc musiałem zostawić coś niecoś na potem. Z głównych bohaterów grają jeszcze w tym filmie Grażyna Muszyńska, młody plastyk i aktorzy Bim Bomu — Bielicki i Fedorowicz.

O Cybulskim nie ma co się rozpisywać. Warto może dodać, że jest także współautorem scenariusza. W rozmowie, gdy gawędziliśmy na temat filmu (było to w kilka godzin po jego powrocie z wiedeńskiego festiwalu młodzieży) — prosił mnie o sprostowanie jednej z plotek. Ołóż scenariusz „Do widzenia do jutra“... nie jest żadną autobiografią; nieprawda, że zawiera on jakieś obrazy z jego życia. Przy okazji opowiedział mi swoje wrażenia z Wiednia. Był zachwycony festiwalem, mniej pewną przygodą. Było to tak: Wychodzi rano z hotelu i widzi jakąś ładną dziewczynę. Dziewczyna uśmiecha się do niego i podaje mu gazetę. Cybulski bierze, z miłym uśmiechem dziękuję, a tu naraz wyskakuje z narożnika trzech fotoreporterów i pstryk! — i „Cyb“ jest uwieczniony, czyta drań... antyfestiwalową gazetę!

W ten sposób dostał się na łamy wroglej prasy.

Rolę Jacka w tym filmie traktuje bardzo poważnie. Dla niej odrzucił dobre propozycje zagrania w filmie zagranicznym. W tym filmie próbuje stworzyć sylwetkę bohatera współczesnego, bohatera, który mógłby służyć za wzór naszej młodzieży.

Reżyser Morgenstern zaangażował do tego filmu poza Cybulskim prawie samych „naturszczyków“, i tylko niewielu aktorów zawodowych. Okazało się bo-

wiem, że próbne zdjęcia z zawodowcami, nawet z młodym narybkiem szkolnym nie wypadły najlepiej. Teresa Tuszyńska i Grażyna Muszyńska już raz próbowały swoich sił w filmie, są modelkami Domu Mody „Ewa“ w Warszawie. Mają wdzięk i urok, są piękne. Jak wypadną w tym filmie — zobaczymy na ekranie. Mogę napisać dwa słowa więcej o Muszyńskiej. Otóż przystąpiła do tego filmu, z wielką treścią. Nie śmie nawet marzyć o karierze gwiazdy filmowej, jest bardzo skromna. Ma ukryte plany studiowania czegoś i... wielką miłość, która mieszka w stolicy. Więcej plotkować nie będę.

Teraz idę na rozmowę z reżyserem Morgensternem i kierownikiem produkcji Rutowiczem.

„Do widzenia do jutra“ to reżyserski debiut Morgensterna. Był drugim reżyserem w „Popiele“. Pracuje z aktorem spokojnie, może czasami trochę za wolno, ale na planie nie ma wściewłej atmosfery jaką się widzi i słyszy w atelier. To dobrze, zwłaszcza gdy grają „naturszczyki“.

— Ten film nie ma szuladki — powiedział na wstępie Morgenstern. — Chcę w nim pokazać nowego bohatera, nowego przedstawiciela wcale nie takiej — jak mówią niektórzy — złej młodzieży polskiej. Melodramat filmowy z życia młodych ludzi, ich problemy i konflikty. Ale wszystko inaczej niż dotychczas...

Dlaczego właśnie ten film wybrał na swój debiut, czy ten rodzaj bardziej mu odpowiada niż inne? Tak, bo wiem reż. Morgenstern założył sobie, że chciałby realizować filmy o bardzo współczesnych tematach.

Zwraca uwagę na dialog, pozwala mówić aktorowi tak jak mówi normalny człowiek.

Natomiast od kierownika produkcji J. Rutowicza dowiedziałem się kilka ciekawych wiadomości technicznych.

Film należy do gatunku oszczędnych, a więc nie będzie drogi. Duża ilość zdjęć kręcona jest w autentycznych pomieszczeniach, dlatego odpada część kosztów budowy dekoracji. Gdy nie ma pogody i nie można pracować w plenerze — na Oksywiu w hali sportowej przygotowano naprędce atelier i tam ekipa realizuje sceny wnętrzowe. Aktorzy przeważnie mieszkają w Gdańsku, więc nie trzeba zawieszac lub zrywać spektakli teatralnych, co jak wiadomo pochłania spore sumy. Chodziło tutaj zwłaszcza o Cybulskiego i Bielickiego. Ekipa realizacyjna jest niewielka, czas zdjęciowy normalny, stąd oszczędności w tzw. „godzinach nadliczbowych“.

Tak więc do Łodzi film przyjedzie prawie gotowy, pozostanie tylko do załatwienia sprawa postsynchronów, bowiem dźwięk do filmu nagrywany jest „na pilota“. Aktorzy podłożą swoje głosy jeszcze raz w studio łódzkim. Koniec zdjęć gdzieś w połowie października, wtedy gdy już nad morzem przeminie ostatni dzień lata. A propos ostatniego dnia lata — to jest aluzja do operatora Jana Laskowskiego, który nad morzem nakręcił niegdyś uroczy film pod tym właśnie tytułem. Teraz jest autorem zdjęć do „Do widzenia do jutra“...

Ponieważ ekipa bawi jeszcze nad morzem, więc wypada autorowi przesłać życzenia: Dużo słońca i... do zobaczenia w Łodzi.



Reż. Morgenstern w czasie przerwy w pracy



Pełna wdzięku Grażyna Muszyńska

JERZY
DAGOBERT



PAMIĘTNIK SZPIEGA (I)

15 grudnia 1940 roku opuściłem Genewę, żeby założyć w Lozannie moją kwaterę. Nie mogłem się oczywiście urządzić z aparatem nadawczym w hotelu, ani w pensjonacie, niełatwo zaś było rzecz znaleźć w tym czasie w Szwajcarii prywatnego mieszkania, ponieważ upadek Francji i Holandii spowodował tu uchodźców, w tym wielu bardzo bogatych. Sprawy utrudniało ponadto zarządzanie policji, zakazujące odnajmowania mieszkań prywatnych cudzoziemcom. Zarządzenie powyższe tłumaczyło się częściowo względami bezpieczeństwa, głównie zaś względami natury handlowej. Wojna unicestwiła bowiem cały ruch turystyczny i praktyczni Szwajcarzy zmuszeni byli patrzeć na swoje pustkami świecące hotele, które mogłyby łatwo zapelnąć bogaci uciekinierzy.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zignorować te zarządzenia i zająć się przede wszystkim wynajęciem mieszkania, a załatwianie formalności pozostawić na później. Udało mi się odnajść odpowiednie mieszkanie w dużym bloku w gęsto zabudowanej dzielnicy. Mieszkanie było wygodne, z osobnym wejściem, na końcu koorytarza, tak że mogłem słyszeć kroki każdego zbliżającego się człowieka. Aparat przywiozłem z Genewy na wszelki wypadek w mojej brudnej białej, jakkolwiek było mało prawdopodobne, ażeby władze zatrzymały mnie i poddały rewizji bagażu.

Chociaż mieszkanie było świetnie dostosowane do moich celów — mieściło się na przedostatnim piętrze bloku, którego dach przewyższał wszystkie sąsiednie — kontakt z Londynem udało mi się nawiązać dopiero po 3 miesiącach.

Większość agentów przesługuje się lekko po opisach trudności technicznych naszego zawodu, obszernie natomiast opisuje w jaki to sprytny sposób udało im się przechytrzyć wysiłki policji. W życiu bywa jednak inaczej. Małe są szanse uniknięcia aresztowania, gdy już raz policja wpadnie na nasz ślad. Agent winien uchodzić jej czujności, zanim powstanie jakiegokolwiek podejrzenia.

Prawdziwe trudności pracy dotyczą strony praktycznej — umieszczenia aparatu, uzyskania funduszy, zorganizowania spotkań. Denerwujące drobności natury administracyjnej pochłaniają nieproporcjonalnie dużo czasu agenta.

Wracając jednak do rzeczy — miałem już mieszkanie i aparat, reszta, wydawałoby się, powinna być już pojętą gładko. Na niebezpieczeństwo natknąłem się znowu na zarządzanie policji, które, jak za pierwszym razem, postanowiłem po prostu obejść. Zakaz policji dotyczył w tym wypadku u-

mieszczania na zewnątrz wszelkiego rodzaju anten.

Udając głupca, czy nie zorientowanego cudzoziemca, poszedłem do pobliskiego sklepu radiowego, tłumacząc, że jestem Anglikiem (rzecz, która przy moim akcencie francuskim nie wymagała tłumaczenia), że zmuszony żyć przez okres wojny z dala od rodzinnego kraju, pragnąłbym przynajmniej możliwie dokładnie śledzić wypadki w Anglii, i dlatego chciałbym słuchać możliwie jak najwięcej stacji angielskich.

Po dziś dzień nie mam pojęcia, czy moja nowa antena umożliwiła mi słuchanie zwykłego programu BBC, lub też czy wystarczyła mi do tego celu pokojowa antena. Na szczęście mechanik przed którym wygłosiłem moje przemówienie, był zupełnie nie zorientowany, lub też krótko obłąkany, dosyć, że obiecał przyjąć do mnie i spróbować coś zrobić. Wrzucił najwidoczniej moim opowiadaniem przyszedł mocno zdecydowany zaopatrzyć mnie w najlepszą antenę w Szwajcarii, mającą mi umożliwić słuchanie wszelkich programów mego odczytowego kraju, co byłoby może cudowne, gdyby mi na tym zależało naprawdę. Po długich wyjaśnieniach i poczynstunkach whisky mechanik zainstalował w końcu stosowną dla moich celów antenę. Odszedł być może głęboko przeświadczony, że Angliki to prawdziwi dziwacy, ale szkocka whisky na pewno zrobiła swoje, nie pozwalając zrodzić się żadnym podejrzeniom.

Przez tydzień ukrywałem troskliwe części mojej radio stacji, na wypadek, gdyby jednak przytrafiła się jakaś denuncjacja. Pewnego wieczoru otworzyłem na dźwięk dzwonka drzwi i ujrzałem grzecznego, solidnego pana w szatach, które na całym świecie nosi tylko policja.

W tej sytuacji wydawało mi się, że najlepiej będzie jemu pozostawić inicjatywę, zwłaszcza, że byłem pewny, iż powierzchowna rewizja niczego nie wykaże, i że papiery moje były w najlepszym porządku.

Poprosiłem wobec tego, żeby usiadł i poczęstował mnie cygarem. Gość mój wyjaśnił w bardzo grzeczny sposób, iż istnieje zakaz odnajmowania przez cudzoziemców mieszkań prywatnych, po czym poprosił mnie, ażeby bym uprzedził wythumaczyć się. Zdecydowałem się na mały bluff oraz na zaspelowanie do szwajcarskiego zmysłu oszczędności. Wyjaśniłem więc, że przy odnajmowaniu mieszkania nie mi nie było wiadome o zakazie, że rozumiem ponadto, że przy wydawaniu zakazu władze kierowały się głównie troską o zapewnienie skarbowi państwa dewiz i dochodów hotelom.

Jestem gotów, dodałem, zrezygnować z mojego prywatnego mieszkania i wyprowadzić się do hotelu, ale obowiązkiem moim jest zwrócić uwagę, że odnajmowany przeze mnie apartament jest bardzo drogi i że zajmując go, wydaję pieniądze znacz-



Rozwój sytuacji w Polsce w dniach 11-14 września. (Mapy z archiwum niemieckiego dowództwa wojsk lądowych)



ADAM KUROWSKI

Walki dywizjonu myśliwców Armii „Łódź”

już ma zbrodniarza i daje mu cięgi. Niemiec dał gaz do ucieczki przed karą, która go jednak nie ominęła. W parę minut zostały z niego całe tylko końce płatów i ogona. Wkrótce i następny został strącony. Reszta zwała. Wyładowaliśmy...

Dodać należy, że z rana tego dnia ppor. Dzwonek ze

Straty Dywizjonu III/6 (sprzęt)	
zestrzelonych w powietrzu	6
spalonych na ziemi	3
zestrzelonych przez własną artylerię	1
rozbitych przy lądowaniu	1
wycofanych z powodu uszkodzeń w walkach	6
Razem	17

strzelił nad frontem Junkersa-86. Teraz, po skoku na spadochronie został w stanie ciężkim odwieziony do szpitala w Łodzi. Z ran i poparzeń „wylizł się”.

Tego dnia III/6 dywizjon myśliwski zestrzelił ogółem pięć samolotów nieprzyjacielskich: 2 samoloty He-111,



Zestrzelony P-11

nie więcej, aniżeli bym wydawał, prowadząc skromne życie w hotelu.

Jestem wprawdzie człowiekiem, nieznoszącym ścisłego hałasu hotelowego, ale jeżeli tak jest życzenie władz... Miałem niewielką nadzieję, że wskorąm coś, niemniej jednak wygłosiłem moje przemówienie z całym przekonaniem, nie omieszkawszy podkreślić go poczynstunkiem mojej wszechmożnej szkockiej whisky.

Policjant zadał mi wówczas pytanie odnośnie moich dochodów. Wyjaśniłem, że z

1 — Ju-86 oraz 2 — ME-110. Zestrzelenie samolotów ME-110 jest niewątpliwie dużym sukcesem wyszkolenia i ducha bojowego pilotów dywizjonu.

W tych ciężkich walkach z przeważającym technicznie i liczebnie nieprzyjacielem sam dywizjon ponosił także ciężkie i krwawe straty. Cztery samoloty zostały zestrzelone, przy czym dwaj piloci ponoszą śmierć, a jeden jest ciężko ranny. Trzy dalsze maszyny wyszły z walk z dużymi postrzelaninami i nie nadawały się do naprawy.

W dniu 2. IX wieczorem zapada decyzja odwrotu armii na główną pozycję obrony na Warcie i Widawce. Teren ścieśnia się, ale rejon zasadzek dywizjonu pozostaje bez zmian, są teraz niemal przy samym froncie.

Dowódca lotnictwa armii i dowódca dywizjonu myśliwskiego popełniają niewątpliwie błąd. Pozostawiają dywizjon na miejscu. Mimo że przez całe popołudnie krążyły tam „na wabia” ME-109, mimo że dwukrotnie rozgrywała nad Łódziem walka, a w pobliżu przeszło kilkanaście mniejszych wypraw i pojedynczych samolotów. Na lotnisku wre praca przez cały dzień. Tu lądują i stąd odlatują samoloty trzech zasadzek. Kilkakrotnie startuje klucz alarmowy, a dwa razy większa grupa. Snują się samoloty łącznikowe RWD-8.

Ta niewątpliwa lekkomyślność pozostawiania dalej na tym lotnisku wkrótce się zemściła.

3 września dywizjon nie zmienił swego systemu działania. Nad frontem dwaj młodzi piloci pchor. Prętek i Urbanczyk. W obu wypadkach ofiarą ich padły samo-

(II) loty rozpoznawcze Henschel-126. Chłopaki cieszyli się jak zwariowani.

Ppor. Głowczyński, późniejszy autor tak ciekawego artykułu podczas patrolowania zestrzelił Ju-86. Ten wypadek jest tak charakterystyczny dla walk myśliwców polskich w Kampanii Wrześniowej, że niepodobna jeszcze raz nie oddać głosu por. Głowczyńskiemu:

„I mój Ju-86. Nie chwalebne zresztą. Tylko cierpliwość. Wziąłem go przez zaskoczenie. Był na pięciu tysiącach metrów, kiedy ja miałem niecałe dwa. W tej chwili gdy radio kazalo mi lądować, błysnął wysoko w luce między chmurami. Wrzasnąłem do mikrofonu: „mam go!” Zostawiłem sweich bocznych, „wrznięciem” gaz i stałem pod nim i pod nim, coraz wyżej i bli-

Straty Dywizjonu III/6 (piloci)	
zabici w powietrzu	3
zabici na ziemi	3
ranni w powietrzu	2
ranni na ziemi	1
Razem	9

żej. Z wstrzymanym oddechem, aby go nie spłoszyć... Doszedłem!

Zauważył blisko. Strzelec zaczął rechotać z armatki pilot dał gaz do ucieczki. Grzmiałem długo, cierpliwie. Na coraz dalszą odległość. Uciekał. Śmiały się pewnie wszyscy czterej. Wystarczy im tego śmiechu na całe życie... pozagrobowe...

Rozluźniłem dłonie i szczęki dopiero wtedy, kiedy stanął w płomieniach. Puściłem spoczone rękawiczki. Maszyna sama poszła do góry, zawisła i zwała się ku ziemi. Położyłem ręce na kabinie, głowę na owiewce. Taki przyjemny wiatr...

Po walkach tego dnia stan dywizjonu zmniejszył się o dalsze trzy maszyny. Jedną z nich została zestrzelona w walce. Dwóch innych, mimo heroicznych wysiłków mechaników nie udało się doprowadzić do stanu sprawności bojowej.

Dzień 4 września okazał się czarnym dniem dywizjonu. Lotnisko podstawowe po zostawiono niestety na poprzednim miejscu. Zadanie również bez zmian.

Nie można już jednak było liczyć na sieć dozoruwa-

(Dokończenie na str. 9)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

kobietę. Kilka razy godził poważnione współmieszkan-ki. Oddawał nawet sprawy do kolegium, które skazało kłótniową i bardziej krewką niewiastę na grzywnę pieniężną. Widać jednak, nie wiele to pomogło.

— Ona mi ubliża, panie dzielnicy! — denerwuje się ładna, młoda kobieta.

— To niech sobie pani weźmie świadka, kiedy ona pani ubliża i poda współniczkę do sądu. To jest sprawa czy-śto prywatno-skargowa. Ja już nie mam siły do was. Ciągle się kłócicie. Już chyba piątą raz w tym miesiącu!

Kobieta nie jest zadowolona ze stanowiska dzielnicowego. Wychodzi zła, wojownicza. Zaczynam rozmowę od bardzo zwyczajnego pytania: czy dużo jest takich spraw jak ta, której byłem świadkiem przed chwilą?

Milicjant odpowiada:

— Takich spraw jest moc. Całe życie dzielnicy się poznaje i niemal wszystkie tajemnice jej mieszkańców.

Tajemnice? No przecież chodziło mi o to od początku. Nie przyszedłem tu szukać przemian ekonomicznych nie wypatruję nowych bloków, nie chcę oglądać przebudowanych ulic, zajmować się handlem społecznym, ani też domami kultury.

Właśnie chodziło mi o te awanturki, drobne przestępstwa, skandaliki. Zadaję dzielnicy natychmiast drugie pytanie: czy dużo i jakie sprawy do załatwienia ma na dzisiaj?

Milicjant jest zakłopotany. Sprawa nie jest taka prosta jak mi się wydaje. Trzeba sobie pomagać notesem. Czło-wiek nie wszystko może spamiętać. „Tajemnice” małych, cichych uliczek, jest mnóstwo.

Dzielnicy przewraca kartki notesu i wylicza:

— Na dzisiaj mam takie sprawy. Pierwsza dotyczy sporu o obórkę. To na Marianne. Stamtąd muszę przenieść się na Plachy. Tam mam drugą sprawę o wspólne wejście. Jeden lokator nie pozwala drugiemu wchodzić przez ten sam korytarz. Doszło do tego, że ten wwrzucony przystawił sobie stół do okna i przez okno wchodzi do swego mieszkania. To jest niby sprawa kwaterunku, ale trzeba tam pójść, zbadać ją na miejscu i spisać protokół. Trzecia sprawę mam na Rogach. O alimenty. Już trzy żony zgłaszały się do mnie w tej sprawie. A ile żon jeszcze przyjdzie, nie mam pojęcia. W każdym razie ten trzykrotnie żonaty „pan” wcale nie myśli płacić żadnej z żon na dzieci. Czwartą sprawę mam na Grądku. Kawał drogi od Rogów. Ale i tam trzeba być, chociaż śmiech bierze, taka poważna sprawa. Chodzi o klucz od strychu. Ktoś zawsze ten klucz zabiera i ludzie się boją o bieżnię. Piątą sprawę mam...

Slucham i nie wkręca własnym uszom. Wydaje mi się nawet przez moment, gdy dzielnicy mówi o kluczu od strychu człowieka wchodzącym przez okno do swego mieszkania, że znalazłem się w biurze skarg i zażaleń, a przede mną siedzi urzędnik zagrzebany po uszy w podaniach i papierach. Przecieram więc oczy i stwierdzam, że mam jednak przed sobą funkcjonariusza MO w mundurze, że trzyma on w swym ręku jakąś słubną fotografię i wyjaśnia jej znaczenie.

Dzielnicy opowiada:

— Piątą sprawę mam znowu o mieszkanie. Te właśnie fotografie otrzymałem, żeby poznać tego obywatela. Mieszka on tu zaledwie dwa miesiące, nie miałem okazji się z nim zetknąć.

nie ubywa. Wręcz odwrotnie, przybywają nowe. Właśnie jestem świadkiem zakakującego telefonu.

Dzwoni właściciel gospodarstwa rolnego. Na peryferiach wielkich miast mieszka również rolnicy. Trudni się dostawą warzyw, mleka, owoców. Ten gospodarz, rozmawiający w tej chwili z dzielnicy, telefonicznie, ma hodowlę mlekodajnych krów. Zdarzyło mu się nieszczęście. „Taka dobra krowa, tyle mleka dawała, mleka pełnotłustego” i nagle od południa dnia wczorajszego przestała się doić. Słyszę najwyraźniej, jak ów gospodarz mówi: „Może ktoś ją zażegnał, albo rzucił czar, albo co jej zadał? Niech pan dzielnicy przyjeżdża jak najprędzej”.

Dzielnicy jest najwyraź-

nie zszedłem do pralni. Patrzę, w kącie śpi gość. Ma karkę ma pod głową, prześcieradłem się przykrył. Budzę go. Jest „pod gazem”. Skąd się pan wziął? A, powiada, pobłądziłem po pijanemu, to tu przyszedłem nocować. I dlatego zabrał pan kobiecie prześcieradło? A dlatego — powiada — bo mi było zimno, musiałem się czymś przykryć. Zaprowadziłem tego obywatela do komendy, żeby spisać z nim protokół, a potem wezwalem tę poszkodowaną kobietę. Oddaję jej prześcieradło i makatę, obie rzeczy bardzo stare i zniszczone. Mówię przy tym: pani podała, że strata wynika z kradzieży wynosi 150 złotych, a te szmaty nie warte są więcej jak 30 złotych! A, bo widzi pan, powiada kobieta,

nie wiesz, jak się nazywa? Zbaraniałem. Faktycznie, nie wiem jak się nazywa. Zapomniałem spisać z nim protokół! Na moje szczęście, obywatel ten zgłosił się następnego dnia do komendy. W paczce przyniósł moje ubranie. Dziękował mi serdecznie za wyrażenie go z opresji. Miły jegomość. Szkoda tylko, że jego ubranie się nie znalazło. Sprawca także.

Gdy tak sobie gwarzy, pojawia się interesant. Starszy pan jest bardzo przejęty. Ma niesłychanie ważną sprawę do pana dzielnicowego. W ubiegłym roku wybierał się „na letnik”. Wynajął mieszkanie w pobliżu Łodzi, zawiózł rzeczy na miejsce: a więc — łóżko, pościel, miskę, wiadro, maszynkę elektryczną, garnki i... nie

nał się, że zaraz po przyjeździe do Łodzi spotkał na Dworcu Kaliskim „wesolą ko-bietkę”. Poszli razem na koloację, wypili sporo wódki. Potem wsiadli w taksówkę i pojechali, rzekomo do jej mieszkania. Jakim cudem ocknął się w łasku łagiewnickim, tego nie umiał wytłumaczyć. Prawdopodobnie wyrzuciła go tam z taksówką „wesolutka panienka”, za brawszy mu uprzednio zegarek i 8 tysięcy złotych.

— W trakcie przesłuchania niefortunnego amanta otrzymaliśmy telefon z komendy dzielnicowej Polesie. Powiadamy nas, że zatrzymano na ich terenie kobietę lekkiego prowadzenia się, przy której znaleziono większą gotówkę i zegarek, pochodzące przypuszczalnie z kradzieży. Zapytujemy nas, czy nikt nie zgłaszał się do nas w tej sprawie. Od razu domyśliłem się, że chodzi o urzędnika z Bydgoszczy i jego „bogdanek”.

Oczywiście, niefortunny amant z Bydgoszczy, przebywający w Łodzi na delegacji służbowej, odzyskał swoją „zgubę”. Zaś dzielnicy dzięki tej historyjce wzbogacił się o niesłychanie cenne odkrycie. Mimo wieloletniej służby i doświadczenia nie wiedział dotąd, iż delegacje służbowe z Bydgoszczy zalegają się w łasku łagiewnickim.

Tak, tak. Kobieta, a szczególnie wódka, niejednego już zaprowadziła nie tylko do łasku łagiewnickiego, ale i na manowce. Dzielnicy przytacza dziesiątki nazwisk notorycznych pijaków z Mariani, Rogów, Plachów. Nie pomagają perswazje, leczenie w poradni, zamykanie w Kochanówce.

Skwapliwie notuję i ten przejaw „tajemniczego” życia małych uliczek, a tymczasem milicjant wdziewa płaszcz, zapina pas, notes chowa do torby. Pora ruszyć w „dzielnicowy świat”. Ale chwileczkę. Jest nowy pokrzywdzony. Niski, wysuszo-ny człowieczek, cichym głosem opowiada swoją „tragedię”. Zakupił na placu budowy od ZBM starą cegłę. Przyjechał, by ją zabrać. Ale napotkał nieoczekiwaną przeszkodę. Jakaś kobieta, mieszkająca przy tym placu, nie pozwala mu zabrać tej cegły twierdząc, że cegła jest jej własnością. Ta kobieta kłóci się z nim i powiada, że chociażby przyszło piętnastu mężczyzn takich jak on, to i tak nie da! Szczupły, potulny człowieczek pokazuje dzielnicy dokumenty uprawniające go do zabrania cegły z placu budowy. Prosi, by władza z nim pojechała, bo on z tego wszystkiego „nie może dojść do przytomności”.

Żeby więc ten obywatel mógł przyjechać do przytomności, trzeba będzie tę sprawę dzisiaj zbadać, chociaż już nabierało się ich tyle.

(Dokończenie na str. 6)



TEKST:
Tadeusz Szewera
ZDJĘCIA:
Czesława Szot

Tajemnice przedmieścia

Sprawa wygląda tak. Młode małżeństwo, dopiero po ślubie, zmówiło się z właścicielem mieszkania w sprawie pokoju sublokatorskiego. Właściciel, rozumny człowiek, wie jaka jest sytuacja mieszkaniowa w Łodzi, odstąpił im jeden pokój na miesiąc. Niech mieszkają, do póki nie dostaną czegoś lepszego. Dał im łóżko, pościel, szafę. I co się robi? Oni teraz ważniejsi niż sam właściciel. Chcą go nawet wyrzucić. A żona tego młodego, to już raz pobiła właściciela...

Te sprawę trzeba będzie także dzisiaj załatwić, chociaż to kawał drogi. Trudno, służba nie drużba. Ludzie czekają na przyście władzy, na załatwienie ich małych i dużych kłopotów. Czas płynie szybko, dzień minie znów na wędrowce po małych, wąskich uliczkach. Na osobiste życie „chodzące go biura skarg i zażaleń w mundurze” niewiele już zostaje. Zanim się zajdzie na miejsce, zanim wróci... Nie ma tu tramwajów, autobus kursuje co trzy godziny i do tego psuje się często. Trzeba wszędzie pieszo chodzić. A tymczasem spraw

niej stropiony. Nie wie, co ma robić. Radzi gospodarzowi zwrócić się do właściciela. To jego sprawa. Ale chłop jest nieustępliwy. Prosi dotąd, aż dzielnicy zapowiada swój przyjazd za dwie godziny. „Będę czekał przed chałupą” — brzęczy w słuchawce gruby głos.

Patrzę na dzielnicygo zdumionymi oczyma i robię minę bardzo poważną, chociaż chce mi się faktycznie śmiać. Nie przypuszczałem, że władza musi zajmować się także sprawami uroków rzucanych na mlekodajne krowki. I to w wieku rakiet kosmicznych. Ale dzielnicy mi wyjaśnia, że rakietę swoją drogą, a życie małych uliczek swoją drogą. Dla pomocy swej tezy o specyficznym życiu przedmieścia opowiada taką oto historyjkę.

— Przybiega świtanie kobieta i lamentuje, że ją ktoś okradł. Ze strychu zabrał jej prześcieradło i makatę wartości 150 złotych. Ubrałem się, co było robić i poszedłem na miejsce. Chodzę po domu, przeprowadzam wywiad z lokatorami, czy przypadkiem nie widzieli kogoś obcego, wresz-

te ja myślałam, że mi milicja wróci piniądze. To podałam więcej. Gdyby się te rzeczy nie znalazły, to by i tak żaden z was nie wiedział, że to były stare lachy.

Dzielnicy opowiada mi jeszcze inną historyjkę, która zdarzyła mu się w określone lata.

— Byłem po służbie. Siedziałem sobie w domu i odpoczywałem. Naraz patrzę, biegnie ulicą jakiś obywatel w stroju „adamowym”. Wy-skoczyłem więc przed dom, zatrzymuję go i pytam, co wyrabia. A on na to, że go okradli. Kapał się w stawie, ubranie zwinięte w tobolek położył pod krzaczkiem, na krzaku powiesił ko-szulę. Po godzinie pływania kiedy wyszedł na ląd stwierdził, że koszula została, a ubranie zniknęło. Pobiegłem z nim nad ten staw i zaczę-nam posćić za przestępca. Niestety, bez rezultatu. Ka-załem więc mu się ubrać w koszulę, przyprowadziłem go do mego domu, dałem mu swoje cywilne ubranie i czo-lowiek sobie poszedł. W godzinę później opowiadał mi historyję żonie. A ta w krzyk: dałeś mu ubranie, a nawet

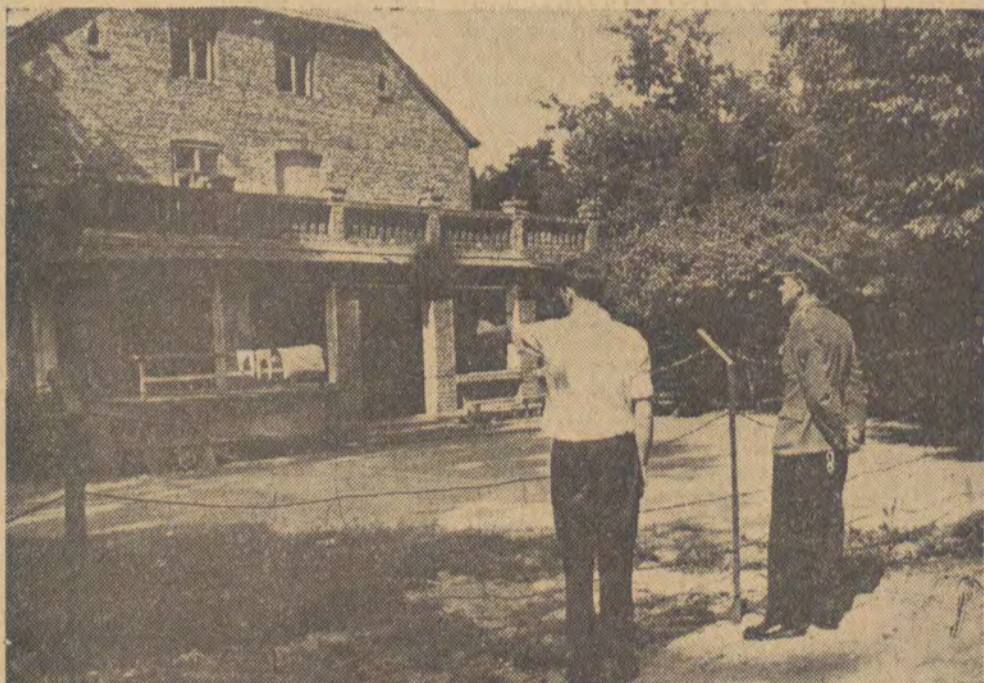
pojechał. Letnisko przepadło i rzeczy... też przepadły. Od sześciu miesięcy nie może się doprosić o zwrot swojego „mienia”. Właściciel let-niskowego domku przywłasz-czył je sobie i... koniec.

Trzeba będzie pojechać z poszkodowanym na miejsce, chociaż nabierało się już dzisiaj tyle spraw, każda w innej części dzielnicy, każ-da na innej ulicy...

W notesie milicjanta za-pisana jest niejedna podob-na historyjka. Chociażby ta, z wczoraj. Dzielnicy opo-wiada ją:

— Przechodzę przez las łagiewnicki wczesnym ran-nikiem. Patrzę, jakiś oby-wateł chodzi między drzewami. Czego pan tu szuka? — py-tam. A on na to: Jestem na „bańce” panie władzo, ro-zumie pan... No, rozumie się, rozumie się, ale co pan tu zrubil? Okradli mnie panie władzo — powiada i płacze. Biorę od niego dowód oso-bisty, patrzę i oczom nie wierzę. Gość z Bydgoszczy. W dowodzie, delegacja służ-bowa.

— Zawiozłem go do kome-ndy. Kiedy otrzeźwiał przyz-



ELEGANCJA

Uzając się historię niejednego raz wypadło nam wkuwać daty spotkań i wizyt różnych koronowanych głów. Taka np. wyprawa do Canossy to było coś wielkiego. Jeszcze przed pół wiekiem, spotkanie cesarza Wilhelma z carem Mikołajem stanowiło wydarzenie tak wielkie i rzadkie, że dostawało się ono od razu na łamy podreczników.

Dzisiaj zmniejszyła się co prawda liczba koronowanych głów, ale za to wizyty i wzajemne odwiedziny przywódców poszczególnych państw stały się chlebem codziennym.

Waga wydarzeń politycznych każdego roku czy miesiąca jest wprost proporcjonalna do częstotliwości wizyt dyplomatycznych. Świat bowiem stał się mniejszy, było morze można z perspektywy samolotu odzobowego traktować jak sadzawkę. Większa natomiast stała się współzależność między poszczególnymi państwami.

Nic więc dziwnego, że na wet podróże najwyższych dostojników nie mają szans dostania się na łamy podreczników historii a tylko gazet i to nie na długo bowiem na kilka dni lub co najwyżej na kilka tygodni.

W ciągu ostatnich kilku tygodni gazety całego świata zajmują się wizytą w trzech europejskich stolicach prezydenta Stanów Zjednoczonych generała Eisenhowera. Podróż Eisenhowera do Europy stanowiła przegrywkę do podróży jeszcze wyższej rangi, do wymiany wizyt między premierem

Chruszczowem a prezydentem Eisenhowerem.

Prezydent Eisenhower nie bardzo lubi odbywać częste wizyty. Skupia on w swoim ręku całość niemal władzy wykonawczej i podobno nawet wówczas kiedy gra w golf, obok, w odległości 5 metrów stoi zawsze specjalny aparat nadawczy.

Kiedy żył Dulles to on właśnie wyręczał Eisenhowera we wszystkich najdalszych i najważniejszych nawet wojskach. W okresie, kiedy Dulles był sekretarzem stanu prezydent Eisenhower jedynie dwa razy przyjeżdżał do Europy i to na bardzo krótko. Dulles natomiast bił wszelkie rekordy. Teraz, w kilka miesięcy po zgonie Dullesa, prezydent Eisenhower odbył dziesięciogodniową podróż po Europie. Wskazuje ona na dwie rzeczy. Po pierwsze na to, że poważne musiały wyłonić się problemy przed amerykańską polityką zagraniczną. A po drugie — że prezydent Eisenhower sam ujął w swe ręce ster polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Prezydent Eisenhower przyjechał do Europy, by przekonać swych głównych sojuszników o tym, że jego bezpośrednie rozmowy z premierem Związku Radzieckiego, Chruszczowem nie zapoczątkują ery dwustronnych porozumień między dwoma największymi supermocarstwami. Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, że nie będą one pierwszymi gwoździ

do trumny, w której złożona zostanie brytyjska, francuska czy też niemiecka mocarstwowość. Tłumaczył więc Eisenhower zwłaszcza w Bonn i Paryżu, że w rozmowach z premierem Chruszczowem nie będzie występował w imieniu całego Zachodu, że pragnie jedynie „topić lody”, a sporne problemy międzynarodowe będą musiały zostać rozwiązane na szerszych konferencjach szefów rządów, w czasie których zachowane zostanie równe partnerstwo pozostałych wielkich mocarstw.

Eisenhower przekonywał swych sojuszników, że wymiana wizyt z premierem Chruszczowem nie oznacza w żadnym wypadku zmiany polityki amerykańskiej, że sztywność zasad zostanie utrzymana. Zmienia się jedynie taktyka, która będzie bardziej giętą i bardziej elastyczną.

Setki tysięcy ludzi witających Eisenhowera na ulicach Bonn i Paryża widziały go w innym świetle, niż przed dwoma laty kiedy przybył na atlantycką sesję NATO zwaną „sputnikową”. Wówczas Eisenhower był surowy, oszczędny w gestach i słowach, jakby całą swą osobą pragnął podkreślić groźbę sytuacji i konieczność zwiększenia zbrojenia. W tym czasie Eisenhower był uśmiechnięty, w dobrej kondycji fizycznej, starający się przekonać wszystkich wokół, że jest on człowiekiem, który uczyni wszystko, by „stopić lody”.

Do tego potrzebna mu jest jedność Zachodu i w imię

tej jedności przybył on do Europy. Jego przemówienia i wypowiedzi na konferencjach prasowych były elegancją i gładkie. W Bonn pochwlebił próżność Adenauera, podkreślając zaufanie jakim go darzy i rolę jaką ten ostatni spełni. A jednocześnie wyraził niezadowolone (również w elegancji sposób) z rewizjonistycznych manifestacji na trasie jego przejazdu. W Londynie wystąpił razem z premierem MacMillanem przed kamerą telewizyjną, czym oddał nieocenione usługi propagandzie wyborczej w partii konserwatywnej. W Paryżu nazwał prezydenta de Gaulle'a swoim starym przyjacielem i dał do zrozumienia, iż wierzy w wielkość Francji.

Setki dziennikarzy z całego świata idących za tropem Eisenhowera przez trzy stolicy mogło się na konferencjach prasowych dowiedzieć, jak nakręty był stół na przyjęciach, jakie wino pił amerykański prezydent, ile metrów ma chodnik, po którym będzie kroczył od samolotu do samolotu, ale o wielkiej polityce niewiele.

Prasa amerykańska oceniła wizytę prezydenta Eisenhowera w Europie, jako wielki osobisty triumf. Prezydent Eisenhower dzięki swojej wizycie miał wstrząsnąć w norysowany gmach jedności Zachodu potężny zastrzyk cementu.

Czy tak rzeczywiście jest? Przekonamy się w najbliższych miesiącach.

HENRYK ANDERS

Zdjęcia: CZESŁAWA SZOT

(Dalszy ciąg ze str. 1)

gowa. Granicę bliższych peryferii wyznaczałaby linia krzywa łącząca Bałucki Rynek, Osiedle Mireckiego, Dworzec Kaliski, Osiedle ZUS-u na Bednarskiej, Rastawiacę i Bystrzycką. Cała reszta, i tak jest rzeczywistością, byłaby zaliczona do przedmiotu — peryferii dalekich.

ROZMIESZCZENIE PLACÓWEK KULTURALNYCH W ŁODZI

	Razem	Śródmieście	Peryferia bliskie	Peryferia dalekie
obszar ¹⁾	212 km ²	4,5 km ²	15,5 km ²	192 km ²
ludność ¹⁾	700 tys.	330 tys.	370 tys.	
Szkoły:				
stopnia średniego	77 ²⁾	43	21	13
podstawowe	225 ²⁾	124	48	53
przedszkola	85 ²⁾	33	23	29
Teatry oraz instytucje muzyczne:	10	110	—	—
Kina	27	16	6	5
Muzea i archiwa	4	4	—	—
Lokale wystawowe:				
stałe	2	2	—	—
dorywcze	6	6	—	—
Świetlice:				
Domy Kultury	5	3	1	1
Kluby	10	15	3	2
Świetlice	80	60	13	7
Biblioteki:				
naukowe	16	12	4	—
inne	5 ²⁾	4	—	1
Wypożyczalnie miejskie:				
dla dorosłych	23	8	7	8
dla młodzieży	15	2	8	5
punkty biblioteczne	22	4	7	11
punkty biblioteczne społeczne	18	12	4	2
Księgarnie Domu Książki	28 ²⁾	21	5	2

1) w przybliżeniu

2) dane z Informatora „Łódź od A do Z”

3) m. in. 2 Domów Kultury

TADEUSZ SZEWEERA

Tajemnice przedmieścia

Dokończenie ze strony 5

I na pewno przybędą jeszcze nowe. Boć przecież, jak się dowiaduję, dzielnicowy musi pełnić służbę nie tylko w dzień, ale i w nocy. Sześć godzin wieczorami te uliczki są niebezpieczne. W bramach wystają chuligani, zaczepiają ludzi wracających z pracy, zwłaszcza kobiety, odbierają torebki...

Na dowód dzielnicowy opowiada zdarzenie, które miało miejsce poprzedniego wieczoru.

— Idzie ulicą jakiś człowiek ubrany jest elegancko, ma na sobie futro. W ręku wypchaną teczkę. Ulica prawie pusta. W jednej z bram stoi trzech drabów. Obserwują eleganckiego z teczką. W pewnym momencie wysyłają dziesięcioletniego podrostka do zbliżającego się obywatela z teczką. Mówią do chłopca: Idź, niech ci ten pan da teczkę.

— Chłopiec podbiega i mówi: niech mi pan da tę teczkę. Obywatel w futro odpuścił chłopca, ale ten nie ustępuje. Wtedy z bramy wychodzą draby. Jeden z nich

ma w ręku laskę i powiada:

„Ty, w futrze! Daj dzieckowi teczkę jak cię prosi! Obywatel w futro już się nie zastanawia, oddaje chłopakowi teczkę i biegiem rusza przed siebie. Tamci odbierają od podrostka, który jest z nimi w zмовіe, wypchaną teczkę i uciekają, tylko w drugą stronę. No, i sprawa załatwiona. Takie zdarzenia są u nas powszechne.

Po tym opowiadaniu dzielnicowy już zdecydowanie wyrusza w teren. Przed starym odrapanym domem dozorca zamyka ulicę.

W tym miejscu pożegnalem milicjanta. On poszedł na Mariankę, ja zwróciłem do miasta. Szedłem najpierw obok rozwalonego plotu wyboistym chodnikiem, patrząc na małe parterowe domki. Na podwórku skrzypiała studnia na korbę, „zły” pies czekał na przechodnia, konie ciągnęły ciężki wóz wyładowany węglem.

Daleko od centrum miasta pozostały małe, wąskie i ciche uliczki przedmieścia. Ich codzienne tajemnice „z punktu widzenia milicyjnego”, zdradził mi funkcjonariusz MO — tak zwany — dzielnicowy.

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI

BITWA NAD BZURĄ

(Dalszy ciąg ze str. 2)

pancernego minie Częstochowę...

Do wieczora czołgi Niemiec nie docierały do Przedborza i Radomska. Lewe skrzydło armii „Łódź” znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Armia „Kra-ków” i „Łódź” utraciły ponadto łączność a luka stawała się wciąż większa i groźniejsza.

Po południu do sztabu armii dotarły wiadomości, że zagon czołgów niemieckich dotarł pod Kamiensk. Wiadomość była jednak niekonkretna i sprzeczna. Pochodziły bądź od Naczelnego Dowództwa, bądź od własnego lotnictwa rozpoznawczego, bądź też od wysłanych patroli motocyklistów. Przed wieczorem 2 września generał Rómmel przeprowadził rozmowę z marszałkiem Smigłym Rydzem, wspominając o meldunku jaki otrzymał od dowódcy Grupy Operacyjnej „Piotrków” w skład której wchodziły wołyńska Brygada kawalerii i 30 DP generała Thommee, jakoby główne siły niemieckie znajdowały się dopiero w re-

jonie Mykanowa — czyli 15 km na północ od Częstochowy. Wiadomość ta wpłynęła do dowództwa na nastroje w armii jak i w Naczelnym Dowództwie.

Jednak około godziny 18.30 gen. Thommee meldował dalej: „Co to przedarło się, nie zdążyłem wyjaśnić. Mam obawę, że między 7 dywizją piechoty a wołyńską brygadą kawalerii prze-dziera się wielka jednostka pancerna...”

Takie były skutki lekkocważenia ludzi częstochowskiej. Tymczasem prawe skrzydło armii, a więc 30 Dywizji Piechoty zaczęło odwrót na przedmieście Sie-radz, a bohaterzy utłumi wołyńskiej brygady kawalerii po walce wieczorem 2 września w rejonie Ostro-tów. Przed wieczorem 2 września generał Rómmel przeprowadził rozmowę z marszałkiem Smigłym Rydzem, wspominając o meldunku jaki otrzymał od dowódcy Grupy Operacyjnej „Piotrków” w skład której wchodziły wołyńska Brygada kawalerii i 30 DP generała Thommee, jakoby główne siły niemieckie znajdowały się dopiero w re-

jonie Mykanowa — czyli 15 km na północ od Częstochowy. Wiadomość ta wpłynęła do dowództwa na nastroje w armii jak i w Naczelnym Dowództwie.



Ulica Literacka

dywizji pancerniej i sytuacji na kierunku Kamiensk—Piotrków została przesadzona. 1 dywizja niemiecka wykonała główne uderzenie na odcinku Jeżów — Rozprza, zajmując obie te miejscowości mimo bohaterkiej obrony Polaków. Do akcji w tamtym rejonie weszły dwie kompanie czołgów polskich, które w rejonie lasów Wygoda. Kłisiele powstrzymały nieco natarcie nieprzyjaciela...

SYTUACJA ARMII ŁÓDZ 4 WRZEŚNIA

Straty poważne. Odwrót przebiegał jednak zgodnie z planem. Oddziały straszliwie przemęczone. Niemcy koncentrują się do ostatecznego ciosu.

Na podstawie rozlokowania wielkich jednostek niemieckich orientujemy się w sytuacji naszych oddziałów. A więc od południowego

wschodu 1 dywizja pancerna osiągnęła Rozprzę (na południe od Piotrkowa), 4 dywizja pancerna znajduje się na południe od Borowej Góry, 19 Dywizja Piechoty w Szezerowie, 18 DP w Władawie, 17 DP w miejscowości Chojne (na południe od Sieradza), 24 DP w mieście Warta, 30 DP na południe od miejscowości Dobry. W marszu na Uniejów W ten sposób główne uderzenie Niemców idzie na skrzydła łódzkiej armii, i po czterech zaledwie dniach zbliża się niebezpiecznie do polskiego Manchesteru. Tymczasem bohater zbliżający się, największej bitwy w kampanii wrześniowej, generał Kutrzeba, nie atakowany przez Niemców, bezskutecznie dobija się w Naczelnym Dowództwie o zezwolenie na silne wsparcie armii „Łódź” od północnego zachodu a armia „Prusy” o trzymanie rozkaz następującej treści:

BIAŁE PLAMY...

Wykazy można by przedłużyć wyliczając wydziały i zakłady szkół wyższych, siedziby związków twórczych, lokale ognisk muzycznych i plastycznych, bazy zespołów amatorskich itp. Obrazu to nie zmienia — w śródmieściu mamy zagęszczenie placówek, na bliskich peryferiach rozmieszczenie dość równomierne, na przedmieściach sytuację raczej niepokojącą.

Nie chodzi nawet o to, że 90 proc. obszaru miasta i przeszło połowę ludności obsługuje zaledwie 24 proc. placówek. Gorzej, że — częściowo z wyjątkiem szkół — placówki te należą do najslabszych w swojej specjalności. Gorzej, że mieszkańcy krańców miasta bardziej są odcięci od śródmieścia niż obywatele okolicznych miasteczek, rzadziej też bywają w teatrach, muzeach, czy na wystawach plastycznych. A przeważnie nie bywają wcale.

Przyjrzyjmy się jednak, jak to są owe peryferyjne placówki. Pięć wymienionych w tabeli kin — „Roma” i „Łączność” na Chojnach, „Muza” w Rudzie, „Pokój” na Widzewie i „Sojusz” na Nowym Złotnie — dysponuje łącznie 1200 miejscami. Są to więc kina małe, obliczone na potrzeby mieszkańców najbliższego rejonu, tak jak zresztą być powinno. Niestety, teren, który muszą obsługiwać, jest ogromny. Na tę liczbę ludności trzeba ponad 9.000 miejsc, mniej więcej ty-

le ile mamy w całym mieście. Trzeba więc 18 kin dużych, lub 36 małych. Tak przewidują normy.

Trzynastcie wypożyczalni miejskich posiada w księgozbiorach około 80 tysięcy tomów — a więc jeden na pięciu mieszkańców. Rozmieszczone w większych skupiskach ludzkich mają zasięg stosunkowo niedaleki, w dodatku wypożyczalnie młodzieżowe niepotrzebnie konkurują — nawet sąsiedztwem — z bibliotekami szkolnymi. Punkty biblioteczne prowadzone dorywczo przez aktywistów społecznych docierają wprawdzie głęboko w teren, ale niczego nie ratują. Ich łączny zasób książek nie przekracza 2 tysięcy.

Filia ŁDK — Dom Kultury na Bałutach — jest placówką nową, jeszcze nie okrzepłą, jeszcze borykającą się z trudnościami organizacyjnymi. Dwa kluby w Rudzie cieszą się doskonałą opinią uczestników i władz nadzorujących. Nie da się tego, niestety, powiedzieć o świetlicach.

Z 80 świetlic zarejestrowanych w Wydziale Kultury prawie połowa — jak wykazały kontrole — to „martwe dusze”. Zakłady, nawet jeśli posiadają etaty, nie angażują dla oszczędności personelu kulturalno-oświatowego. Lokale wykorzystuje się raz do roku na zebrania załóg, niekiedy na po-
tańcówki.

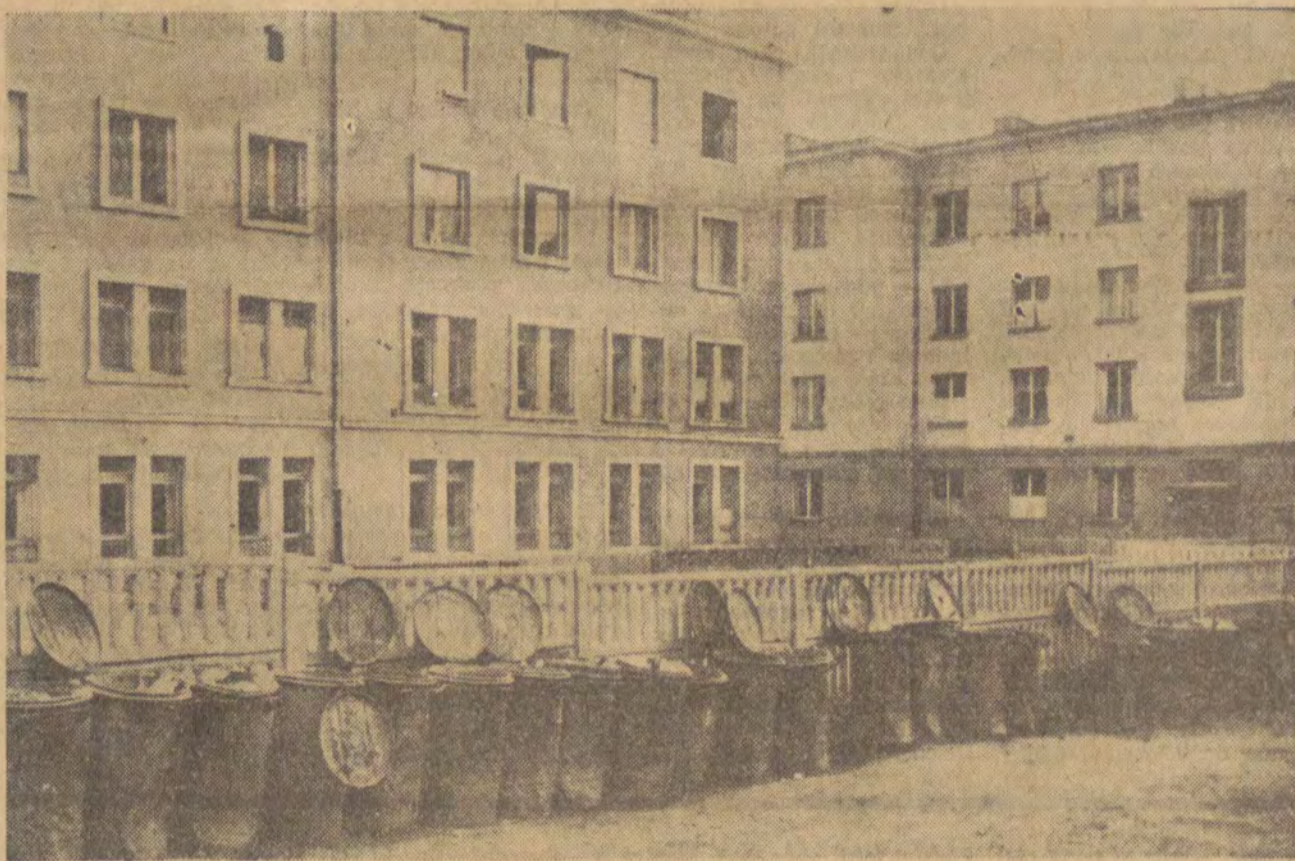
Z siedmiu figurujących w spisie świetlic przedmiejskich martwe są cztery, jedna (na Bałutach) ledwo — ledwo wegetuje, o jednej (na Marysinie) nie wiadomo, w ostatniej (na stacji w Olchowie) wyświetla się tylko filmy.

Ale... owa cyfra 80 świetlic to fikcja. W terenie jest ich więcej — sam znalazłem cztery. Nie rejestrują się po prostu, ponieważ — albo jako nieuczynne od zarania nie mają żadnych potrzeb, albo...

Czy wiecie, gdzie jest Mlyn? Dojeżdża się czternastką do krańcówki na Dąbrowskiej, a potem jeszcze dwa kilometry piechotą. Od nie-
(Dalszy ciąg na str. 9)



Świetlica na Młynku



Żłobek na Bałutach

Rydz Smigły do generała Dęba Biernackiego:

„W razie zagrożenia wschodniego skrzydła armii „Łódź”, które może się zagnieść w rejonie Belschatów, uderzy pan generał częścią sił na flankę nieprzyjaciela w kierunku zachodnim lub południowo-wschodnim nie odstawiając jednak kierunku na Piotrków-Sulejów. Ze względu na dużą przewagę lotnictwa nieprzyjaciela przewidzieć uderzenie zasadniczo na noc, jeśli tylko warunki na to pozwolą. Kierunek uderzenia i sposób współdziałania z armią „Łódź” uzgodnić z „generałem Rómmlem...”

Generał Dąb-Biernacki nie porozumiał się jednak ani z Rómmlem ani z dowódcą grupy operacyjnej „Piotrków” generałem Tommее. Uderzenie armii „Prusy” miało więc pójść w nieznaną. Obronę Piotrkowa zorganizowa-

wano w ten sposób, że jeden pułk rozwinął przed miastem na otwartym polu, drugi za Piotrkowem, na skraju lasów, bez styczności z armią Łódź. Zdaniem fachowców obrona taka wcale nie chroniła Piotrkowa. Po przełamaniu bowiem głównej pozycji obrony armii na przedpolach, nieprzyjacieli mógł obejść pozycje 86 pułku piechoty (tego na otwartym polu), obejść Piotrków od zachodu i posuwać się bez przeszkód na północ.

UPADEK PIOTRKOWA

Już o świcie 5 września od dział 4 dywizji pancerniej Niemców uderzyły na pozycje zajmowane przez 2 pp kierując główne uderzenie na Borową Górę. Przez cały dzień prowadziła piechota polska zaciekłe walki z oparciem na czołgach i uzbrojonym po zęby nieprzyjacielem. Żołnierze 2 pp dawali przykład

niezwykłego bohaterstwa i wytrwałości. W walkach wręcz Borowa Góra przechodziła trzykrotnie z rąk do rąk. Na pobojuwisku obie strony zostawiły wielu rannych i zabitych, z potwornymi ranami od bagnatów. Pod wieczór Niemcy wstrzymali natarcie. Oddziały polskie zostały na polu walki.

Tymczasem strzelcy polscy, wspierani przez 301 batalion czołgów wściekle zaatakowali Niemców w rejonie Woli Krzysztoporskiej zdobywając osadę. Kilka czołgów polskich dotarło nawet pod Jeżów, ale pod silnymi ciosami przeważających sił nieprzyjaciela, wycofać się musiały, ponosząc dotkliwe straty...

Czołgi niemieckie dotarły na przedpola Piotrkowa i rozpoczęły walkę z 86 pp. Walki wzmagały się. Niemcy zorjentowali się jednak, że za zachodnim skrzydłem pułku polskiego nie ma żad-

nych oddziałów i tam skierowali swoje uderzenie. Dowódca 1 dywizji pancernej wysłał ponadto silny oddział czołgów z zadaniem obejścia Piotrkowa od północnego zachodu i czołgi te przeszły do marszu na Wolbórz. Bitwa o Piotrków była przegrana. W chwili kiedy dowódca 19 dywizji, w skład której wchodził 86 pp bawił u dowódcy armii „Prusy” w Spałę, pułk ten został rozbity, a Niemcy wtargnęli do Piotrkowa...

Między armią „Prusy” i armią „Łódź” powstała nowa potężna luka i Niemcy mieli otwartą drogę do Warszawy.

Tak powstała sytuacja, w której zrodził się plan największej i najkrwawszej bitwy kampanii — bitwy nad Bzurą.

W. PIOTROWSKI
(d. c. n.)

WŁODZIMIERZ KRYSIŃSKI

Na śmierć automobilisty

Umierać w lipcu? Jaki dziwny wybór. Na dno piekielnego, w upał, zstąpić szybu?

Do połowy poznać grzechu topografię. Wyładować nagle na swej wiecznej rafie.

Do czasu obrośniętej szepem i pochwałą. (Tak wiele mu zabrano, a dano tak mało)

W upór słońca zagwizdać kantylenę zgonu i szaleństwem wymierzyć kataklizm opony

(Tu przestrach turystów obarczonych i schłodzonych Na pustych drogach i przedmieściach ludnych

Maszerujących w jądro euforii Gdzie pod lipca pieszczotą warezę śmierci kornik).

On śmierć właśnie gonil błyskawicą pędu, Traktem uniciesnienia, w stolicę obłędu.

Spadając kamieniem w posłuszeństwa nadir, Aż kundel przypadku triumfalnie zawył.

Umierał jak umiał, choć zbyt szybko może A czas upalny, więc zły, był na dworze.

Po linii najkrótszej, prostej prostopadłej, Odjeżdżał w krajobraz głuchy, nieodgadny.

I w proch się obrócił tuż zaraz po starcie. Mógł posłać kochankę. Powiedzmy otwarcie. Na zboczu góry leżały dwa cienie, Spłecione w uścisku rozkosznym młeczeniem.

Przelatywał pastuch ze stadem aniołów I Chrystus zasiadał młeczaco do stołu.

Czas posiłków. Południe. I mruczenie ważek. Po obiedzie mędrzec pot ocierał z twarzy.

Z niełatwą koncepcją wiodąc wąty dialog, Gdzie szło mu o duszę i o grzeszne ciało.

Starzec zbrukał lądki w zimnym, rzeki prądzie I dążył pod parasol, żeby tam, na lądzie,

Już zza okularu widzieć młodych grzechy: (Uściski, zle spojrzenia, wiadome uśmiechy).

Oto w ową porę, pod rozgrzaną farszą, Motor automobilisty ostatni raz warczał.

Memento klakson trąbił kwintą konającą Wokół było cicho i bardzo gorąco.

Więc umierał wówczas, choć wiem, mógł inaczej, Czarna malpa czasu, gdy chce, wtedy gdać.



Sezon morskich odpoczynków

Tu zbiegli się efeb i stają na rękach. Są też kobiety. Księżyc jest z nimi.

Księżyc jeszcze z nimi, choć wpięty Hymen w śliczną oczu krągłość.

Dano im włosy, uśmiech i uległość. Któż dziś zasady szanować zechce —

A przecież: mater semper certa est. Niech piszczy piasek, niech fala śpieszy...

Oto już wieczór i rozpacz ptaków. Nadchodzi oddział wojowników — ciszy.

W dolinie szczęścia tak łatwo zamieszkać. Dłoń podaj włosom, włosy to element

Wielce symboliczny. Poznaj wagę Symbolu i ekstazy trudną granicę.

Oto już ranek, więc śpiesz za swoją piętą. Niech piszczy piasek, niech fala śpieszy...

Już zegar słońca rozpoczął swą pracę. Już trumny piasku zagarnęły strusie

I zawisł w zenicie mały piasek gniewu. Jak Bóg, co źmierzysz postępki najmniejszych.

To proletariusz w hucie szkła gdzieś kichnął, Ramionom cicho nakazał pokorę.

Wierz w jego posłannictwo — tak się rzeczy mają. Niech piszczy piasek, niech fala śpieszy...

Wróć się przed lustro i w pokorę mebli. Kaktus zamieczy o twej prostej zbrodni.

Przyjaciel przyjdzie i szczerześć ci wyzna I dym was rozdzieli — pisklę niepokoju.

Sredni wymiar apokalipsy

Descend lower, descend only Into the world of perpetual solitude...

T. S. Eliot „Burnt Norton”.

Więc to zostanie: entomologii triumf.

Więc to zostanie: procesja jaszczynek.

Więc to zostanie: soczewka z kociego ogona.

I ptak schorowany i anioł z lusem.

I żółwi pościg pod gmachem pajęczyny.

I światła nie będzie. Speaker słońca martwy.

Jak lekki to obraz! Partery najniższe!

Wyobraźnia boskością skażona do czasu!

Spadasz jak róża w perygeum ziemi!

Dywan nas powiezie z zapalką Prometeja.

Jak lekki to obraz! Minęliśmy węgiel.

Gdzie on, gdzie on serce miedzi i paproci?

Dyskanty pazurów! To jest miejsce styku.

Pęknięte łono i kły leopardów.

Tu canzona święty, klęska atmosfery.

Conan Doyle w cieniu wielkiego

Sherlocka Holmesa

Czary, mój panie... Nie ma wątpliwości. Sherlock Holmes nosi szary szlafrok. A w dodatku wspominał pan przed chwilą, że palił fajkę wygiętą, podczas gdy używał i używa w rzeczywistości próstki, lub lekko zakrzywionej...

Rozmówca mój, pan Antoni Howlett, był jednym z dwustu członków „Stowarzyszenia Sherlocka Holmesa”. Celem tego zrzeszenia jest utrzymywanie stałe w pamięci postaci genialnego detektywa.

widelec. Jedliśmy obiad w tawernie londyńskiej przy ulicy Floty.

— Gdyby żył? Toć, na świętego Jerzego, on żyje!

Rozejrzałem się speszony dokoła. Wydawało mi się, że pomiędzy stolikami biesiadników 1959 roku zjawia się postać największego detektywa wszechczasów.

— Nie, tu go pan nie odnajdzie! — rzekł pan Howlett ze smutkiem z domieszką pogardy — nasz przyjaciel wycofał się z życia wielkomięskiego na wieś i pisze traktat o życiu pszczoł.

sentencją — „Twór ducha przetrwa materię”. A jeśli pan chce, żebyśmy pozostali serdecznymi przyjaciółmi, to wznieśmy kielich za zdrowie Sherlocka Holmesa, który jest chwilowo nieobecny w Londynie, jednak jestem przekonany, że jeśli nasi ministrowie będą go potrzebowali dla uspokojenia zimnej wojny, powróci do nas!

Pan Howlett miał rację: Holmes był człowiekiem z krwi i kości, jak my wszyscy, a nawet więcej z kości.

Był to w rzeczywistości wątłej postury chirurg szkocki, dr Józef Bell, ordynator szpitala w Edynburgu w roku 1880.

Wśród studentów, którzy asystowali Bellowi, znajdował się dwudziestoletni młodzieniec, Artur Conan Doyle, nie zdający jeszcze sobie wtedy sprawy, że jest bardziej stworzony do pióra niż do stetoskopu.

Artura urzekł dedukcyjny sposób myślenia patrona. Stary oryginał umiał na podstawie jednego spojrzenia określić szczegóły z życia przypadkowego pacjenta.

— Były żołnierz? — pyta dr Bell pacjenta, którego widzi po raz pierwszy w życiu.

— Tak jest, sir.

— Od niedawna w cywilu?

— Tak jest, sir.

— Był pan podoficerem?

— Tak jest.

— W Indiach Zachodnich?

— Tak jest.

Po czym dr Bell zwrócił się do studentów z wyjaśnieniami:

— Jak zauważyliście panowie, pocziwiec wygląda na człowieka o dobrych manierach, a nie zdjął kapelusza, co oczywiście oznacza, że nie pozbył się jeszcze wojskowych manier. A elefantiasis dorobił się w czasie służby w Indiach Zachodnich.

W sześć lat później, lekarz bez pacjentów, i pisarz bez czytelników, stworzył na podobieństwo doktora Bella, swego nieśmiertelnego Sherlocka Holmesa.

Sherlock Holmes opanowuje miasto i wieś, kluby i restauracje, dociera do Chin i Indii, staje się tematem rozmów na boiskach rugby i



Tu mieszkał Sherlock Holmes

cricketa, a jednocześnie jest... tragedią autora.

Conan Doyle chce zostać pisarzem rangi Waltera Scotta, Mereditha, Sten-sona. Jednakże powieści kryminalne, które pisze dla zaspokojenia bytu, a nawet dobrobytu, nie otwierają wrót do historii literatury.

Sherlock Holmes nie dopuszcza do głosu innej tematyki — powieści historyczne, obyczajowe nie znajdują nabywców — czytelnik poszukuje w twórczości Doyle'a, tylko króla detektywów.

Conan Doyle decyduje się wobec tego uśmiercić bohatera, który nie pozwala mu zająć się literaturą „na serio”.

W grudniu 1893 roku czytelnicy z przerażeniem dowiadują się z opowiadania, zamieszczonego w „Strand Magazine”, o tragicznym losie Sherlocka; genialny detektyw toczy zacieklą walkę z „Napoleonem zbrodni”, profesorem Moriarty, i spada z nim w przepaść koło Reichenbach w Szwajcarii.

„Zabójca” jest już uspokojony i zamierza zostać pisarzem na miarę Wiktora Hugo.

Tragiczna śmierć Holmesa oddziałuje na Anglików co najmniej jak upadek Gibraltaru lub zachwianie hegemonii na morzu.

Mężczyźni na znak żałoby noszą czarną krepę przy kapeluszach, powstają projekty przemianowania ulic, budowy pomników.

Fale protestów napływają na adres pisarza i wydawnictwa. Presja i niedostatek zmuszają Doyle'a do wycofania Holmesa z przepaści.

W 1903 roku czytelnicy dowiadują się z radością na łamach pisma „Strand”, że w przepaść runął jedynie śmiertelny wróg detektywa, nikczemnik Moriarty.

W 1916 roku pisarz odwiedził front zachodni. I tam, znany ze swej sympatii dla „zjadaczy żab” i chępiacy się swym francuskim pocho-

dzeniem, został serdecznie przyjęty przez dowódcę oddziału, gen. francuskiego Humberta. W pewnym momencie, w czasie galowego obiadu, dzielny oficer zadał pisarzowi pytanie:

— Czy Sherlock Holmes służy w armii angielskiej?

— Niestety, panie generale, za stary — odpowiedział sir Artur.

I rzeczywiście Holmes „liczył sobie” wtedy 66 lat.

Sir Artur Conan Doyle umarł w 1930 roku. W ostatnich chwilach życia interesował się szczególnie zagadnieniami spirytystycznymi.

Do dziś, nawet ignoranci w literaturze, jest znana postać Sherlocka Holmesa, chociaż często nie zna jego twórcy, tak jak bliskie są inne postaci z literatury angielskiej — Romea, Shylocka i Robinsona Kruzo.

Oprac. J. JAN.



Sir Artur Conan Doyle

— Zgadza się z panem całkowicie, mister Howlett, lecz to są drobne szczegóły. Ręczę, że gdyby Sherlock był żywą postacią, przebaczyłby mi...

— Pan powiedział — gdyby żył?

I w tym momencie pan Howlett aż podniósł się na krześle i wznosił do góry

— Niech pan się nie gniewa, panie Howlett, sądziłem, że Sherlock Holmes jest postacią fikcyjną, która urodziła się w imaginacji Artura Conan Doyle'a.

Członek klubu opuścił głowę, chwilę zastanowił się i odparł miękko.

— Czytam często Baudelaire'a i zachwycam się jego

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

ŻYCIE ZAWIESZONE W PRÓŻNI

Powieść Józefa Radzyńskiego — „Spojrzenie na brzeg”, wyróżniona czwartą nagrodą na ogólnokrajowym konkursie „Wydawnictwa Łódzkiego”, jest bardzo interesującym dokumentem literackim, związanym z dziejami polskiej emigracji wojennej. Trzeba jednak powiedzieć od razu, że jest to dokument „małego formatu”, obejmuje bowiem swą treścią jedynie ściśle okre-

ślona grupę emigracyjną, mianowicie żołnierzy tzw. II Korpusu, którzy po skończonej wojnie znaleźli się w Anglii i zostali zgrupowani w specjalnych obozach, jako nowa, przejściowa formacja zwana Polskim Korpusem Przysposobienia.

O tych to właśnie żołnierzach — tułaczach pisze Radzyński, a to co pisze nie jest wcale ani pogodne, ani budujące. Przed żołnierzami tego osobliwego Korpusu Przysposobienia stanął zasadniczy dylemat: wracać czy nie wracać do kraju? Wiemy przy tym, że sfery reakcyjne wylażyły podówczas ze skóry, aby najwię-

szą ilość żołnierzy powstrzymać od powrotu do Polski. Ten „bojkot” był pewnym czynnikiem potrzebnym jako karta w rozgrywkach politycznych, których wynik — jak wiadomo — zawodził zupełnie ich oczekiwania.

A więc jedni spośród żołnierzy postanawiali wracać, inni — nie. Ale najczęściej było niezdecydowanych, czekających na jakieś „zmiany”, na jakieś impulsy zewnętrzne. Oto co pisze autorka „Spojrzenia”: „Większość żołnierzy nie wraca nie dlatego, że się boi, ale po prostu dlatego, że tu ma zapewnione jako tako życie aż na dwa lata. Co będzie później — to się zobaczy...” Takie czekanie w beczynności i niepewności na to, „co będzie później”, nie mogło — rzecz jasna — nikomu wyjść na dobre. Zwłaszcza, że udręk tego życia zawieszonego w próżni potęgowała niezmiennie tęsknota za krajem.

O atmosferze panującej w obozach Korpusu Przysposobienia (nędzne baraki, ponure odludzie itd.) mówią najlepiej słowa autorki:

„Każdy taki obóz był kłębkiem nieszczęścia, rozpacz, kłamstwa i zła. Nikt nie chciał zajmować się prostowaniem tych stosunków, wodzowie przychodzili, nie zależali im na żołnierzach ani na przywództwie. Mieli być zabezpieczeni, przestali wygłaszać mowy. Żołnierze poczuli się



nagie bezdomnymi, nieszczęśliwymi, rozbitkami i wszystkim najgorszym. A był czas, i to niedawny, że cała Europa wiwatowała „o broniom wolności”.

Czy można się dziwić, że w takiej atmosferze, w takich warunkach szybko zaczęli się ludzie zamknąć

w obozach? Że ulegali psychicznemu i moralnemu rozkładowi, przybierającemu formy najbardziej brutalnej i odrażającej? Że parszywieł od wewnątrz jak drzewo stoczone robactwem i stawiali się zdolni do rzeczy najgorszych? Losy bohaterów książki Radzyńskiej są egemplifikacją losów pewnej części wielotysięcznej rzeszy żołnierzy-Polaków na Wyspie Brytyjskiej — i właśnie ze względu na wnioskliwość i wiarygodność tej egemplifikacji nazwałem tę książkę „dokumentem”. Autorka, która sama zaznała „rozkosz” tego obozowego życia, a raczej — vegetacji, potrafi o tych sprawach pisać szczerze i w sposób budzący zainteresowanie czytelnika.

Najlepiej pod piórem Radzyńskiej wypadły postaci kobiece: Fernandy, żony jednego z oficerów, tragicznej Włoszki, którą dławiały uciążliwej obojętności i obojętności obozowego porządku do samobójstwa, oraz Magdaleny, byłej robotnicy fabrycznej Łodzi, żony innego oficera, która po nieła-

tych rozmyśleniach i wahaniach decyduje się w końcu na powrót do Polski. Doskonale jest sylwetka kanoniera Chmury: jego nieco groteskowo uwewnętrzniająca się rozterka ma jednak w sobie wiele dramatycznej wymowy. Romantyczne marginalia Magdaleny (Juliusz) i jej męża Wawrzyńca nie należą do zasadniczych elementów powieści, a Bogdan — to fikcyjna i ornament poetycki, utkarzony z tej mgły, o której tak wiele się mówi w książce Radzyńskiej.

Należą się też autorce słowa uznania za dbałość o nadanie stylistycznej formie „Spojrzenia” własnego, indywidualnego wyrazu. To są rzeczy, które dają na ogół dobre rezultaty, choć gdzieś tam, za wiele jest — powiedziałbym — bardzo kobiecej rozlewności lirycznej.

*) Józefa Radzyńskiego „Spojrzenie na brzeg”. Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie”, 1959 str. 164, cena 12 zł.

Page'owi opadły ramiona. Na chwilę rysy jego twarzy rozlały się, po czym znów stały się wyraźne.

— Nie powinniśmy byli podejmować tej próby — powiedział Page. — Trzeba było poczekać, ażby pana zmienił ktoś inny. My doskonale wiemy, że pan nie odnosi się do nas z pogardą, jak wielu ludzi. Radziłem, że należy poczekać, ale właśnie udało nam się zwać w przestrzeni wir pańskiego przyjaciela, Knuta. A potem trafił tam człowiek, zwany się Page...

Cragg pokiwał głową.
— Rozumiem, po prostu nie mogliście przepuścić okazji. Zazwyczaj jesteśmy dla was nieosiągalni. Nie możecie dać sobie rady z fotoelektrycznymi komórkami. Powinniście byli jednak wykombinować coś bardziej przekonującego. Ta bujda na temat złapanych Kul...

— Ale przecież Page wyruszył właśnie po to — upierał się pozorny Page. — Nigdy w życiu mu się to nie udało, lecz był przekonany, że mu się uda.

— To było bardzo mądre z waszej strony — zakomunikował Cragg — przeprowadzić ze sobą swoich towarzyszy, udając, że się ich złapało, i w pewnej chwili pokonać nas przez zaskoczenie. Tak, to było nawet mądrzejsze, niż pan przypuszcza.

— Proszę pana — powiedział Page — rozumiemy doskonale, że przegraliśmy. Co pan zamierza teraz zrobić dalej?

— Wypuścimy pańskiego przyjaciela z chłodni — odrzekł Cragg — następnie otworzymy drzwi — i jesteście wolni.

— A jeśli nie zechcemy wyjść?

— Wypuścimy płynny tlen. Na górze mamy pełne zbiorniki tlenu. Odsparujemy ten pokój i przekształcimy go w prawdziwe piekło. Nie wytrzymacie tego, zginiecie z powodu braku energii.

Nagle z kuchni dobiegł straszny hałas. Po chwili po schodach stoczyła się futrzana kula, wyrzucająca z siebie strzępy sierści. Za nią pędził Crispi wściekle wymachując szczotką. Kula pękła zamieniając się w dwa jednako-

we koty. Puszyste ogony sterczały do góry, sierść na grzbietach była najczarna, oczy świeciły zielonym blaskiem.

— Zbrzydło mi trzymanie tej przeklestej kotki na rękach, i ja... — wyrzucił z siebie Crispi.

— Jasna sprawa — przerwał mu Cragg. — I pan wpełznął ją do chłodni.

— Tak właśnie było — wyznał Crispi z westchnieniem. — Rozpętało się tam prawdziwe piekło.

— Dobrze — rzekł Cragg. — Teraz, Page, proszę powiedzieć, która kotka jest wasza?

Page coś szybko syknął i jedna z kotek zaczęła zniknąć. Zarysy jej stały się niewyraźne i po chwili przeobraziła się w Kulę, małą, białą, błękitną kulę.

— Page — powiedział Cragg — byliśmy zawsze przeciwko komplikacjom. Jeśli tylko zechcecie, możemy być przyjaciółmi. Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby to załatwić?

Page zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, kapitanie. My i ludzie, to dwa bieguny. Rozmawiamy w tej chwili jak człowiek z człowiekiem, ale w rzeczywistości różnica jest zbyt wielka. Nigdy siebie nie zrozumiemy.

Zaciął się i powiedział jakając się:

— Z pana jest zły człowiek, Cragg. Co za świetna byłaby z pana Kula.

— Crispi — rzucił Cragg — proszę otworzyć drzwi.

Page odwrócił się do wyjścia, ale Cragg zawołał go:

— Jeszcze tylko chwileczkę. W charakterze osobistej przysługi. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć na czym to polega?

— Trudno wyjaśnić — odrzekł Page.

— Widzi pan, mój przyjacielu, cała sprawa polega na kulturze. Kultura, co prawda, nie jest odpowiednim słowem, lecz nie mogę tego inaczej wyrazić w waszym języku. Dopóki nie pojawiliście się tutaj, mieliśmy swoją kulturę, swój sposób życia i swoje myśli... Rozwijaliśmy się nie tak jak wy, poszliśmy inną drogą, nie przechodzi-

liśmy, jak wy, tego niedojrzałego stadium w ewolucji — cywilizacji. Zaczęliśmy od tego miejsca, do którego nie dojdziecie nawet za milion lat. Prócz tego mieliśmy pewien cel, ideał, do którego dążyliśmy. I szliśmy naprzód. Nie umiem tego panu dokładnie wyjaśnić. To jest bardzo trudne. I wtem pojawiliście się wy — ludzie.

— Dalej domyślam się — przerwał Cragg. — Przynieśliście obcy wpływ, zakłóciliście nam kulturę, nasz sposób myślenia. Nasze myśli wdzierają się w wasze i wy stajecie się nie więcej jak imitatorami naśladowcami cudze nawi.

Spojrzał wyraźnie na Page'a.

— Czyż naprawdę nie ma żadnego wyjścia? Czy z tego powodu musimy być wrogami?

Page odwrócił się w milczeniu i poszedł do wyjścia. Za nim toczyły się dwie duże Kule i jedna mała, różowa. Stojąc obok wyjścia ramię przy ramieniu, dwaj ludzie spoglądali jak Kolorowe Kule wyszły na zewnątrz. Po chwili zarysy Page'a zbladły, skurczyły się, stopniowo rozplynęły i oto w jego miejscu kołysała się Kula.

— Ta jest fioletowa — zachichotał Crispi do ucha Cragga.

K O N I E C



Białe plamy...

Dalszy ciąg ze str. 7

dawna zresztą kursuje tamte dy autobus.

Przed wojną było tam dobre urządzone kąpielisko. Bo to prawdziwa oaza na łódzkiej pustyni: ładne położenie, stawy, kawałek lasu.

Otóż na Młynku istnieje tajemnicza świetlica. Istnieje, albo i nie istnieje. Drzwi zamknięte na masywną kłódkę, okna zabite deskami. Przed domem małe betonowe placzki do tańca, a pod drzewami parę ławek, stoliki oraz przysypiane na ćwierć metra trocinami blisko do siatkówki. Na załupionym przystanku kilka łódek.

Świetlica w spisach nie figuruje. Owszem, zarejestrowany jest punkt biblioteczny, ale nikt z lokatorów domu nie umiał powiedzieć, kiedy bywa otwarta. Podobno bywa.

Podobno oficjalnym użytkownikiem świetlicy jest Kółko Rolnicze. Wszystko podobno, bo właściwym dysponentem lokalu ma być niejaki pan Marianowski, dzierżawca domu i stawów, który — zainwestowawszy coś nieco, niewiele widocznie, bo wszystko doprowadził do ruiny — odbija sobie koszty urządzając dochodowe zabawy. A jakże, z własnym bufetem, o wodce spod lady, a raczej zza okna świetlicy mówiono mi również. Mieszkańcy Młynka woleliby rzec się owego przybytku k. o. na rzecz przedszkola, ale miejscowi kulturtraegetrzy trzymają się mocno.

A do najbliższego przed-

szkole dwa kilometry, do szkoły i na posterunek milicji — trzy.

Dla kontrastu obrazek w barwach jaśniejszych. W Olechowie — ogromnie duża wieś ulicową ciągle jeszcze w granicach Wielkiej Łodzi — wykańcza się piękny gmach nowej szkoły. Zarejestrowany przy straży ogniowej punkt biblioteczny jest, o dziwo, czynny, prowadził go jedna z nauczycielek. Ale nie koniec na tym, przy tejże straży funkcjonuje, naprawdę funkcjonuje, nie zarejestrowana świetlica. Są gry: szachy, bilard, ping-pong. Urządza się pogadanki o tematyce rolniczej, a nawet ogólnowiatopoglądowej. Jakże dokładnie dowiedzieć się od ludności nie mogłem, kierownik i komendant straży w jednej osobie wyprawił się do miasta.

Wyprawił, tak jest, to cała wyprawa. Dwa kilometry per pedes do stacji kolejowej, a potem pociągiem naokoło miasta. Uczniowie liceów jeżeli chcą zdążyć na pierwszą lekcję muszą wyjeżdżać pociągiem o 4.52 rano. A jest ich spora gromada. Oni też przywożą gazety. Bo do najbliższego kiosku z pięć kilometrów spacerkiem, a ludzie chcą czytać. Chęć kontaktu ze światem. Nie ułatwia go, niestety, podła wiejska droga. Warto by olechowianom pomóc, to dzielni ludzie.

Podobnych Olechów i Młynków jest w Łodzi wię-

nia, gdyż wskutek cofnięcia się wojsk z rejonów przygranicznych, ze sztywnego systemu tej sieci wypadły wszystkie posterunki alarmowe pierwszej linii. Zastosowano więc także patrołowanie.

Od świtu czynne były dwie zasadzki przyfrontowe. Trzecią w Woli Wężykowej trzeba było zlikwidować, ponieważ było już za blisko frontu. Nieopodal lądowiska stała nasza artyleria polowa. Na lotnisku podstawowym dywizjonu pozostało już tylko 5 samolotów. Z rana ppor. pil. Zadroziński zestrzelił nad Łodzią Niemiec-ki Do-17.

W pewnym momencie w godzinach przedpołudniowych gdy kluczył trzech samolotów po lecie, na lotnisku pozostały gotowe do startu tylko dwa samoloty ppor. Zadrozińskie-

go i por. Jeziorowskiego. W kilka minut później wyładował klucz z zasadzki, który w locie bojowym zużył całą swą amunicję i paliwo.

Mechanicy rzucili się do uzupełniania tych maszyn, a piloci opuścili kabiny. Nagle nad lotniskiem ukazał się rozpoznawczy Do-17 nieprzyjaciela. Zadroziński i Jeziorowski startują, ale w chwili później nad lotniskiem pojawia się dziewięć Me-109. Piloci uzupełnianych maszyn słyszeli do nich i chcieli startować, jednak wskutek gorąca i braku powietrza w butlach pokładowych, silniki nie dały się uruchomić.

Tymczasem w powietrzu rozpoczęła się zacięta walka. Dziewięciu na dwóch, Messerschmitty idą hurmem, rozdzielają Polaków. Jeziorowski, prawdopodobnie ranny, idzie do lądowania. Nad samą ziemią jeszcze raz zaatakowały go z tyłu Messer-

schmitty. Polak wali się na ziemię i ponosi śmierć.

Zadroziński wskutek rany w nogę i unieruchomienia śmigła zmuszony jest również do lądowania. Siada na przygodnym terenie i wyskakuje z samolotu. W chwili później samolot zostaje zapalony przez Niemca.

Bezpośrednio potem Me-109 rozpoczęły ostrzeliwanie trzech maszyn stojących na lotnisku. Wszystkie zostały spalone. W ten sposób na lotnisku Messerschmittów zniszczył pięć maszyn polskich — połowę stanu bojowego dywizjonu z tego dnia. Straty w ludziach mniejsze: jeden pilot zabity, jeden ciężko ranny.

Patrol dywizjonu nad frontem zestrzeliwuje jeszcze jeden samolot niemiecki. Razem więc w dniu 4 września wyniki walk powietrznych wyniosły 2:2. Zniszczenie trzech maszyn na ziemi, to rezultat kurczowego trzymania się wciąż jednego lotniska.

5 września nie przynosi żadnych zwycięstw ani strat dywizjonu. Nastroje są raczej bardzo pesymistyczne. Piloci bez maszyn na lotnisku głównym z ciężkim sercem i nienawiścią do wroga

obserwują dalsze liczne roje ciągnących na wschód bombowców niemieckich. Szlak ich pozostał ten sam. Wydłużał się tylko w głąb Polski. Jak na ironię nie jest ich wciąż mniej niż dni poprzednich... W jednej z wypraw nalicezono aż 27 maszyn.

Dowódca lotniska armii jeszcze z rana zabiega o przesunięcie lotnictwa do tyłu. Sytuacja jest o tyle niewyrazna, że naturalny odrzekł gdzieś do rejonu Skierniewice—Kozłowski stoj pod znakiem zapytania, gdyż obejście południowego skrzyżła armii przez niemiecki XVI korpus pancerny zagroza klerunkowi Piotrków-Tomaszów Mazowiecki.

Po niepomysłnych wypadkach tego dnia, dowódca lotnictwa armii podejmuje decyzję przerzucenia swoich pododdziałów na lotniska na dalszych tyłach, poza obszarem operacyjnym armii. Lotniska te wskazuje Naczelne Dowództwo Lotnictwa.

III/6 dywizjon myśliwski otrzymuje rozkaz przesunięcia się na lądowisko Drwałów położone niedaleko Włocławka na zachód od niej, kończąc w ten sposób swą kampanię pod Łodzią.

W rzeczywistości nawet owe pletniczne peryferyjne instytucje wymienione w tabeli grupują się w kilku zwartych, określonych ośrodkach: bliskie Bałuty między Zgierką a Limanowskiego, Stoki, Nowe Złotno, Karolew, ulica Pabianicka w Rudzie i Rzgowska na Chojnach. Reszta — ogromne polacie terenu — to dzikie pola kultury, białe plamy na mapie. Różne Teofilowy, Kały, Retkinie, Rokiel, Kurczaki, Zarzewy, Sikawki, Antoniewy i Marysi-

ny, Rogi i Różki — Łódź jeszcze rolnicza, słabo zaludniona, żyjąca jakby w innej epoce historycznej.

Ale, po co szukać krańców świata? Jest na Dąbrowie ulica Literacka. Chłopiec z drugiego oddziału spieszy do szkoły. Już za trzy kwadransy zaczyna się lekcja, a on jeszcze w domu. Czy dojdzie na czas?

Małe, nędzne domostwa wśród sadów. Ulice: Rydla, Deotymy, Kadłubka, Zapoi-

skiej. Jakiś jegomość wyjaśnia, że za cara Zapolska była tu dziedziczka.

A Kadłubek?

Kadłubka nie znał. Jeszcze jedna biała plama. Tuż przy tramwaju.

Wiemy, że będzie lepiej. Rosną nowe szkoły, właśnie na przedmieściach. Na pewno uruchomione będą nowe biblioteki i świetlice. Zagęści się sieć kin. Ale wiemy również już dzisiaj doskonale, że same instytucje i najszust-

niejsze nawet podciągnięcia administracyjne nie zbudują kultury, nie rozbudzą odpowiedzialnych nawyków. Jak ożywić aktywność społeczną?

H. ANDERS

odgłosy str. 9

O MUZEUM



nowoczesności

Tu w kiosku sprzedaje się kolorowe pocztówki z Rodakowskim, Wyczółkowskim, Wyspiańskim. Wchodząc stawiamy pytanie: Czy dzieła z wycieczek szkolnych do Muzeum nabierają upodobań estetycznych? I co im się mówi o obrazie Oleszkiewicza? Są to jednak sprawy marginalne. Abstrahujmy tym razem od popularności Muzeum i zajmijmy się nim samym.

To Muzeum ma w porównaniu z innymi charakter odrębny, oryginalny i nawet nieco „ekstrawagancki”. Pod nazwą muzeum rozumie się bowiem zwykle zbiór dzieł sztuki o ustalonej już wartości oraz reputacji. Jeśli zabłąkają się tam jakieś utrwalone na płótnie „wybryki nowoczesności”, są to wypadki raczej sporadyczne. Muzeum łódzkie natomiast jest jednym z nielicznych w Europie posiadaczy pokątnego zbioru obrazów w stylu zwanym często modernistycznym. A jest to zbiór ciągle powiększany. Oczywiście, wymaga to nieprzerwanej działalności Muzeum, zmierzającej do dotrzymania kroku rozwojowi malarstwa nowoczesnego. O aktualnym stanie tej działalności, o kontaktach z zagranicą i o najnowszych nabytkach opowiada dyrektor Muzeum, dr Marian Minich.

Dyrektor Minich wiosną tego roku był w Holandii. Odwiedził w Amsterdamie miały charakter rewizyjny, gdyż dyrektor tamtejszego muzeum gościł u nas w kwietniu. Wynikiem obustronnych wizyt było zawarcie układu o wymianie publikacji oraz wystaw. Stedelijk Museum i Muzeum Łódzkiego. Wymiana ta natychmiast przybrała kształty realne, gdyż wysłano już do Amsterdamu dziesięć obrazów na mającą się tam odbyć wystawę ogólnopolską. Pojechały więc do Holandii obrazy Strzemińskiego, Stążewskiego i Tadeusza Makowskiego. Na rok przyszły przewidziana jest wystawa sztuki konstruktywistycznej ze zbiorów Muzeum Łódzkiego. Rewanż ze strony Stedelijk Museum będzie dla nas szczególnie cenny. Otóż jest ono jedynym na świecie posiadaczem czterdziestu kilku obrazów polskiego twórcy suprematyzmu, Kazimierza Malewicza. A jedyny obraz Malewicza znajdujący się w Polsce był własnością prywatną i spłonął podczas powstania warszawskiego. Stedelijk Museum zamierza więc wypożyczyć nam kolekcję obrazów Malewicza na wystawę, która odbędzie się ewentualnie w roku 1960.

Umowy, zawarte ze Ste-

delijk Museum, są tylko drobnym wycinkiem bardzo ożywionych kontaktów z zagranicą, nawiązanych i podtrzymywanych przez kierownictwo Muzeum. I tak Dział Sztuki Modernistycznej prowadzi ciągle korespondencję z wieloma muzeami europejskimi, szczególnie z Paryżem. Rokowania na terenie paryskim ułatwia pomoc ze strony mieszkających tam stałe Polaków, między innymi znanego poety J. Brzękowskiego. Ekspansja Muzeum jest przede wszystkim zwrócona w kierunku różnych odmian międzynarodowej sztuki nowoczesnej. Jest faktem dość znanym, że Muzeum posiada obrazy takich malarzy, jak Leger, Hans, Arp, czy Marcoussis.

Jakie są jednak ostatnie, te najnowsze nabytki? Otóż pozyskano liczne obrazy abstrakcjonistów różnych narodowości, między innymi: Zanartu i Malta (Chile), George'a Haydena (malarza polskiego pochodzenia), d'Angela, Serpana. Włoskich surrealistów reprezentują: Leonore Fini, Lapri, Baj, Colombotto Rosso.

W roku 1950, gdy Muzeum zostało przejęte przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, zlikwidowano Dział Międzynarodowej Sztuki Modernistycznej. Ponowne, częściowe otwarcie Działu nastąpiło dnia 1 stycznia 1956 roku. Całkowite uruchomienie przewiduje się na rok 1960. W trzydziestą rocznicę powstania Muzeum. Jest to uzależnione zarówno od uzyskania odpowiednich kredytów na odnowienie sal Muzeum, jak od przeniesienia się Działu Historii Włókiennictwa do gmachu fabryki im. Dzierżyńskiego.

A jak wyglądają kontakty z malarzami polskimi, reprezentującymi malarstwo nowoczesne? W 1945 roku Władysław Strzemiński ofiarował Muzeum część swoich obrazów. Zakupiono też obrazy od artystów łódzkich: Modzelewskiego, Wegnera, Kowalewicz-Wegnerowej.

Tekst: ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Zdjęcia: J. SKOSZKIEWICZ



Jankiel Adler „Moi rodzice” (fragment)

Kunki, Pisarka, Głowackiego, Tyszkiewiczowej i innych.

Jakie są najważniejsze kłopoty Muzeum? Dyr. Minich narzeka na krajową „wystawomanię”, z powodu której ciągle wypożycza się obrazy z Muzeum i przewozi często bez odpowiedniego zabezpieczenia, wskutek czego ulegają zniszczeniu, na fundusze nie wystarczające jeszcze na uzupełnienie zbiorów Muzeum (np. w galerii malarstwa polskiego wyraźnie brakuje Podkowińskiego), no i wreszcie na to, że bardziej niż w kraju cenią nas za granicą. Tyle o Muzeum od frontu. Warto jednak zajrzeć od schodów kuchennych, tam gdzie nadaje mu się ów właściwy, reprezentacyjny wygląd.

Pracownia konserwatora mieści się w przylegającym do gmachu Muzeum pawilonie ogrodowym. Parterowy lokal najmniej chyba nadaje się do celu, jakiemu służy. W lecie przez okno dostaje się kurz, który osiada na obrazach, w zimie temperatura jest tak niska, że często uniemożliwia pracę.

Na szczęście planuje się przeniesienie pracowni w najbliższym czasie do innego, stosowniejszego pomieszczenia.

P. Bielecki jest konserwatorem Muzeum Łódzkiego od lat pięciu (poprzednio pracował przez piętnaście lat w

Muzeum Narodowym). W ciągu tych pięciu lat przeszły przez jego ręce wszystkie obrazy, znajdujące się w Muzeum. Wiele z nich wymagało natychmiastowej konserwacji (Łódź poprzednio nie miała konserwatora). Tak było np. z „Widokiem Kowna” Zaleskiego. Jeden nieostrożny ruch mógł spowodować rozsypanie się obrazu. Oglądamy zdjęcia. Oto portret kobiety Faworskiego z XVIII w. Przy porównaniu stanu obrazu przed i po konserwacji rzucają się w oczy różnice w ornamentacji herbu, ułożeniu fałd szaty, ozdobie głowy, wyrazistości rysu ręki i postaci. Okazuje się, że jakiś nieznany, mierny malarz chcąc widocznie ukryć zniszczone miejsca, pokrył obraz po swojemu farbą. Plerwszy etap konserwacji polegał na usunięciu tego wtórnego nawarstwienia i przywróceniu portretowi stanu pierwotnego.

W pracowni zwraca uwagę duży obraz Hondcoetera, holenderskiego malarza z XVII wieku. Trafił on do Muzeum w dość niecodzienny sposób. Przez długi czas wisiał w świetlicy w Łasku. Potem zdjęto go, gdyż był bardzo zniszczony. Obrazem zaopiekował się porucznik Kryga, z posterunku MO w Łasku i dzięki jego interwencji obraz dostał się do Muzeum. Obecnie jest w trakcie konserwacji. Cała ta historia świadczy o tym, że działalność konserwatora powinna wykraczać poza granice Łodzi. Nie zawsze przecież znajdzie się ktoś, kto zaopiekuje się cennym dziełem sztuki. A przypadek z Hondcoeterem nie jest odosobniony. Ostatnio dotarła do Łodzi wieść, że w kościele w Chorzeńcach k. Kutna znajduje się obraz Cranacha i podobno dwa obrazy Gersona.

Dodatkowe problemy ma pracownia w związku z koniecznością konserwacji obrazów nowoczesnych. W obrazach tych zasadniczą rolę odgrywają plamy barwne. Trudność polega na tym, że malarze eksperymentując używają bardzo różnorodnych materiałów, często w zestawieniach nietrwałych. Skutek jest taki, że obraz zaraz po namalowaniu wymaga konserwacji. Przed wojną uczono malarzy technologii, obecnie nie zwraca się na to uwagi i brakuje w wykształceniu artystów rekompensować musi konserwator. Pracownia z konieczności musi zająć się opracowaniem zupełnie nowych metod pracy. Problem był rozpatrywany na konferencji konserwatorów w Warszawie, ale właściwie istotny jest tylko dla Muzeum Łódzkiego jako jedynego w kraju, posiadającego Dział Malarstwa Nowoczesnego. Tak objawia się konflikt między nowoczesnością a Muzeum w pojęciu tradycyjnym.

Jubileuszowy numer „Faktów i Myśli”

Sympatyczny i żywo redagowany dwutygodnik **FAKTY I MYŚLI** obchodzi rocznicę swego istnienia. Z „Jubileuszowych rozważań” redaktora, Jana Rosińskiego, dowiadujemy się, że pismo osiąga w realnej rozprzedaży 15000 egzemplarzy, co przy obecnej koniunkturze czytelniczki stanowi nakład okazały. „Wbrew sugestiom niektórych naszych „przyjaciół”, nie jesteśmy pismem tylko dla „ateistów” — pisze Rosiński nawiązując do podtytułu, który głosi, że pismo wydawane jest przez Stow. Ateistów i Wolnomyslicieli. O tym, że redakcji udaje się realizować swoją tezę, prze-

konuje nas również numer jubileuszowy, w którym każdy znaleźć może „coś dla siebie”.

Wśród materiałów związanych z XX rocznicą wybuchu wojny światowej znajdujemy historyczny reportaż z kulis wielkiej polityki, pióra Krzysztofa Adamskiego i Andrzeja Czarskiego pt. „Łaska marszałka Joffre”. Ciekawe i nieznanne szczegóły historyczne znajdujemy

również w artykule Franciszka Slepokura - Skiepuskiego: „Watykan, Hitler i wrzesień”.

W cyklu: „Polska 59” czytamy reportaż Włodzimierza Karskiego pt. „Sposób na życie”. Ponadto, jak w każdym numerze: szachy, brydż, rozrywki umysłowe, kącik turystyczny i stały felieton z cyklu „Kij w mrowisko”, tym razem pod tyt. „Słuchty, słuchty — panie bracie...”.

Obszerny dodatek literacki „Wiatrak” zawiera świetne opowiadanie amerykańskiego pisarza Williama Saroyana: „Sami prowadzicie swoją wojnę”, opowiadanie Kalmana Segala — „Ludzie — jacy jesteście?” oraz fragment niedrukowanej książki Jacka Bocheńskiego „Słoń a sprawa polska” — zatytułowany: „Sen o Addis-Abebie”. Wiersze drukują: Edward Hołda, Wiktor Woroszyński, Jan Gó-

rec-Rosiński i Maria Kurecka.

Dodatek obejmuje ponadto obszerną kolumnę poezji i prozy „Grupy Warszawskiej”, która przynosi poezję i prozę: Andrzeja Jasińskiego, Andrzeja Zaniewskiego, Andrzeja Selegiennego, Jerzego Czajkowskiego, Zygryda Sawki i Włodzimierza Łowickiego. Artykuł dyskusyjny o młodej literaturze publikuje Tadeusz Ptużński, Wiktor Woroszyński nadesłał kolejny „List z Warszawy”.

Bydgoskiemu dwutygodnikowi życzymy serdecznie dalszego rozwoju.

Mieszani

pod redakcją JANA HUSZCZY

Proszę pokazać język!

Posługujemy się na ogół językiem dość bezbarwnym, zarówno jeśli chodzi o słowo mówione, jak i o słowo drukowane.

Jeśli chodzi o słowo mówione, to — owszem — niektórzy nasi znajomi starają się mówić dowcipnie, ale robią to niezbyt umiejętnie, wykoślawiając język na manierę wiechowską, albo też używają (szczególnie młodzież) ćwaniacko-sportowego żargonu.

Jeśli zaś chodzi o słowo drukowane, weźmy dla przykładu choćby język niektórych krytyków i recenzentów literackich: jałowy, bełkotliwy, przypominający jakiś wólapiuk, a przede wszystkim — język pryncypialnie niedowcipny!

Oczywiście, nie każdy jest stworzony na wynalazcę w tym zakresie. Ale dlaczego — dla okraszy — nie skorzystać czasem ze zwrotów i wyrażeń wcześniej stworzonych, wymyślonych lub ukutych? Leży to przecież w dobrych tradycjach naszej mowy codziennej i naszej publicystyki.

Chciałbym tu — nie po raz pierwszy — przytoczyć kilka cytów, powiedzonek i porzekadeł, które — we właściwych okolicznościach wtrącone — mogą ożywić język niedożywionego człowieka pióra oraz nasz język potoczny. Cytat od dłuższego czasu nie lubimy, ale odnosi się to chyba nie tyle do samych cytów, ile do ludzi, którzy posługują się nimi w sposób zacieraający ich osobowość, lub odpowiedzialność za myślenie.

Zaznaczam, iż poniższe cytaty są przypadkowe, takie, jakie mi w danej chwili podsunęła pamięć.

„Mówię — bom smutny — i sam pelen winy...” (Słowacki).

„Kochanko moja! Na co nam rozmowa?...” (Mickiewicz).

„Bo to zawsze jest najgłupsze, kiedy się kto przy czym uprze...” (Boy).

„Mieszkaniec można człowieka zabić jak sikiera...” (Corbussiere).

„Pluska: Chcę, aby było wiadomo, że ja śmierdę w imieniu wszystkich pluskiew...” (Capek).

„Od czasów Homera żaden wieścioz się nie obył bez swego Kleinera...” (Bujnicki).

„Zdolność ubierania minimum znaczenia w maksimum słów...” (Huxley).

„Panno, któraś poczęła bez grzechu, daj mi grzeszyć bez poczęcia...” (Hasek).

„Kultura ma w płucach mnóstwo zwapnionych komórek” (Trzykowski).

„Fuszerare humanum est...” (Nowaczyński).

„Rzekł koń do osła: o bezecna świnio!” (Rej).

„Niech się skrobie, kto ma li-szaj...”

„Cenzorzy rzadko rozkoszują się przyrodą...” (Kozma Prutkow).

„Grzeszność nie jest nauką łatwą, ani małą...” (Mickiewicz).

„Ukaszanie pluskwy nie jest groźne, ale pozostawia wstrętny odór...” (Stasow).

„Gdybyś pan był tak wysoki jak pan jesteś głupi, to byś pan mógł klęskę piwo na książkę podawać...”

„Niechaj rozmięknie szpik twych kości...” (z arabskiego).

„Lubię ja kwiatki, kiedy w maju...”

„Kobieta jest jak pchła: im bardziej nam dokucza, tym usilniej jej poszukujemy...”

„Najprędzej błdzi, kto prędko sądzi!” (Trzyprztycki).

Brawo warzywa i owoce!

Onegdaj do jednego ze sklepów spożywczych na Choinach (Łódź) nagle wpadły warzywa i owoce z piękną dynią na czele i zatakowały kierownika sklepu, natarczywie żądając, aby je sprzedawał żadnym konsumentom.

Fotograf „Mieszani” uchwycił moment, w którym dynia skoczyła na kierownika sklepu, wołając: „Ty leniwa łamago!”

Ta obywatelska postawa dyni zasługuje na gorącą pochwałę...



Przegląd prasy

Niejednokrotnie przez nas cytowany „Tygodnik mód i powieści” przynosi, tym razem w jednym z numerów z 1887 roku, zabawny wierszyk pt. „Niewinna pomyłka”.

Wierszyk ten pozwalamy sobie przytoczyć w całości...

Raz na stępe do Marcina zjechała się szlachta chmara,

gospodarz dosadził imna aż z czupryn kurzuła para.

Przy kielichu i gawędzie jakoś czas ucieka spory,

ułem ktoś krzyknął: Dosyć będzie, bo już dzwonią na nieszpory!

Nasza szlachta, choć pijana, lecz jak dzwon na pocierz woła —

choćby była rozhułana, zaraz spieszy do kościoła.

Najpijański był pan Michał, kościół się wciąż z nim obracał,

bił się w piersi, ciężko uduchał, aż czołem ławki domacał.

I jak sobie zasnął miło a organy mu w uszach brzmiały,

coś mu się o winie śniło... Gdy wtem... uciekł kościół cały...

I tem się właśnie przecucił... lecz był w rozmarzonym stanie,

a ksiądz w tym czasie zanucił wśród ciszy: Do Ciebie, Panie!

Szlachcie się zerwał na nogę wrzasnął jak gdyby z miecha:

— Dalibóg, ja już nie mogę! Pij wasindziej do Wojciecha!

Z programu STS „Pstrąg”

BOCIANY

Skoro się otworzyła scena kabaretu „ANIMALIS” To pozwólcie mi państwo Bocianowi się pożalić.

Poprawiając błędy kraju, Usuwając wypaczenia, Wnet zepchnięto nas bociany Na margines, do podziemia.

Cóż my winne, że nasz klekot Przypominał referaty? Albo że nie lubił waród, Pięknie brzmiących słów cy-taty?

Refren:

A więc żyjemy w odstawce My niepotrzebne latawce, My — trochę piór! My — cnoty wzór! My — Polsce wierni na zawsze! Weźmy nogi: czerwone! To pies? A na bocznym jesteśmy torze! I źle nam mój Boże tu jest, I źle nam tutaj, mój Boże!

A kto przyniósł pania? Pana?

Czy ni z tego, ni z owego Powstał się gdy nie było

Macierzyństwa świadomego? Kiedy był tej macierzyńskiej Nie określał świadomości?

Za to teraz nas do ZOO? Bez litości, bez wdzięczności!!!

I ta niewiara w polskie bociany Szerzy się w kraju jak gorzkie rany!

Dziecko co ledwie sepleni, powie: — Znow mi bratśka przyniósł śmigłowiec!

Teksty:

WIESŁAW MACHEJKO



OPOWIEŚ DZIADKOWA O DUCHACH NA BYSTRZYCKIEJ

Co się zdarzyło mówią ludzie wszystkie, W Akademickim Domu na Bystrzyckiej

Dziadek coś powie w związku z tematem Chodź o krąg.

Już za nią druga, trzecia, czwarta stapa Dusz toaleta coraz bardziej skąpa.

Wlazły w drzwi jedne i jęki pokutne Słychać okrutne.

Latwo jest powiedzieć. W każdym razie niezmieniała po-
jawność i sława bergmanowskiego repertuaru jest
gwarantem bez precedensu. Jest to tym ciekawsze,
że publiczność przyjmuje Bergmana tylko jako Berg-
mana — wielkiego reżysera, a uznaje wielkość
trudno nawet oczywiście szlachy wytknąć. A przecież
dzieło Bergmana tak nieturowe w swych realizacjach,
tak naznaczone jego indywidualnością, tak czasem
jawnie skłoniące z estetyką Kłosa, zachłajnego niezm
jawnie konwencje nie do przyjęcia, tempo czasem
starzyzna — musi niezłudnie niejednokrotnie sprze-
ciew. „Oczekiwano na meżów” (typu franc. Laiten-
te des femmes) jest zabawa dla burżuazji. Jest to
taka zabawa, w której koniem na biegnących jest
miłość. I jak bywa wśród dzieci, którym ni Berg-
mana są przecież aktualni bohaterowie jego filmu
sprzed, powrócimy. 10 lat, dochodzi się tego konia
Kolejino, czasem mu nawet ktoś ogon wywie, oko
wybicie, lub też, łagielka, pozbawi dwóch przed-
nich kończy. Oto trzy zony, trzy już małki, pokórzysz swojeje
poczędy do łóżek, oczekują na swoich meżów,
rych meżów. Sytuacja wyjściowa jest więc u Berg-
mana zaskakanie dosłowna, nazywamy to zresztą pami-
mentu, banalna. Gdzieś pędzi ekspres z Kopenhagi
si, wiozący trzech małżonków, i oto trzy „usiatko-
wane”, już panie opowiadały sobie historie własny
zykiem obrazów, prezentują „dłży stopień życiowego
belagantu. Nie byłoby też, niemożn więcej ponad to
czyż są same w sobie, gdyby nie dotknął się do tego
Bergman. Historia pierwsza mówi o zdrańcu. Hi-
storia druga dotyczy uwiedzenia kochanej. Dochodzi
tuła do głosu pewien konflikt społeczny i tak chara-
teryzująca dla Bergmana obsesja
takterystyczna dla Bergmana obsesja
materiałnystwo. Historia trzecia (komiczna)
rozwoje małżeńska w niezwyślej scenarii zacofanej
dobrze już po północy, windy.

na najprostsze z prostych. Formalne, rzecz tak cą „Siódmej pieczęci” potoczność.



W Anadolowie świata

"Inspekcja pana Anatola", czyli trzeci film z „pianinowej” serii, ukazuje się w sytuacji korzystniejszej niż dwa poprzednie. Wiedoma nas, przyzywaćca się bowiem do dwóch raczej istotnych obowiązków: przede wszystkim, do tego, że ogląda cykl przysóć jednego bohatera, a po wtóre co fakt, że w cyklu tym nie należy szukać elementów filmu artystycznego, bo ich nie ma. Te filmy reprezentują określony rodzaj, zdecydowanie nieartystyczny i zdecydowanie rozrywkowy.



iny, która ma analogiczne życzenie

społ „Rytm”;

Ten felieton ma dwadzieścia osiem lat

KI
NO
CHA
MY

move.

...tworów są ty-

and Ekimine Widiac juz nra- Hussan ibn

Speak gently to the herring

—Jek pan taki nerwow

L644. Zwickl 17. Z. 2725.

1931